

Alfred Ziętowski

Współżycie osadników na Pomorzu Zachodnim

Osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych wytwarza nie tylko pewne stany gospodarcze, ale i społeczne. Wśród tych ostatnich ważnym elementem jest skład regionalny osadników, odzwierciedlający się we współżyciu osadników między sobą. Współżycie to bowiem kształtuje przebieg zespalań się kulturalnego i etnograficznego wielomilionowej masy osadniczej, co ma dopiero wytworzyć polskie społeczeństwo na Ziemiach Odzyskanych. Dotychczas tego społeczeństwa jeszcze nie ma, a istnieje tylko wrzące zbiorowisko najrozmaitszych grup etnograficznych z całej Polski. Winno ono być zbadane, zanim narysujemy plan scalenia kulturalnego osadników na Ziemiach Odzyskanych. Nieznane są jakiegokolwiek obecne badania czy prace, zmierzające do społecznego uchwycenia masy osadniczej i odnośne placówki naukowe, np. Instytut Socjologiczny w Poznaniu, mają w tym względzie wdzięczne pole do działania.

Chcę podać kilka informacji co do współżycia osadników w jednej tylko dzielnicy Ziemi Odzyskanych, a mianowicie na Pomorzu Zachodnim, za którymi zapewne pójdą opisy innych dzielnic, narysowane przez miejscowych działaczy. Podkreślić jednak trzeba, że niżej opisane dane nie są bynajmniej podmiotowymi wrażeniami czy przypuszczeniami autora, lecz są zebrane na podstawie wyników w tym celu dokonanej ankiety wśród wszystkich powiatów województwa szczecińskiego (w stanie sprzed jego powiększenia o sześć wschodnich powiatów). Dlatego nie uwzględniono zagadnienia ludności tubylczej, której prawie że nie było w województwie według stanu dotychczasowego.

Na samprzód podkreślić należy, że stosunki własnościowe na Pomorzu Zachodnim często nie sprzyjają zgodnemu współżyciu sąsiedzkemu, a to wskutek znajdowania się więcej niż jednej rodziny na jednym gospodarstwie. Ponieważ bowiem napływ osadników na Pomorze jest o wiele większy od ilości wolnych gospodarstw, a z drugiej strony jest dużo wielkich gospodarstw, które mogłyby utrzymać więcej niż jedną rodzinę, przeto tamtejsze władze osadnicze poosadzały w wielu wypadkach po dwie, a nawet i trzy rodziny na jednym gospodarstwie. Mimo, iż były do tego zmuszone względami gospodarczymi, wywołały one nieuchronnie zastrzeżenie stosunków między rodzinami współmieszkającymi, gdyż chłop polski nie jest przyzwyczajony do dzielenia się posiadaniem zagrody i roli. W tych warunkach nie można doprawdy dziwić się, że współmieszkańcy zagrody żyją w stanie nieustannej wojny domowej.

Drugim powodem niesnasek sąsiedzkich są antagonizmy dzielnicowe, przywiezione ze Ziemi Starych. O ile jednak tam były one tylko w umyśle, gdyż poszczególne grupy plemienne żyły obok siebie na dość izolowanych terenach, to na Ziemiach Odzyskanych znalazły się w bezpośredniej bliskości, zagroda obok zagrody, wieś obok wsi, powiat obok powiatu. Nigdzie bowiem nie uzyskano jakiegokolwiek wyłączności regionalnej w pewnym terenie, co było zamiarem planu regionalnego osadnictwa rolnego (Biura Studiów Osadniczo-Przedsiedleńczych w Krakowie). Wskutek tego antagonizmy dzielnicowe miały sposobność do bezpośredniego uwewnętrznienia się, starć, kłótni, sporów itp. Stąd więc antagonizmy te stały się nagle ostre, żywe, codzienne i bolesne. Ba, nawet wszelkie różnice poglądów czy działań (między człon-

kami różnych grup etnograficznych), nie mające wcale tła dzielnicowego, zostały — wskutek pewnej złej woli zainteresowanych — przeniesione na płaszczyznę dzielnicową i w tym kierunku oceniane i rozdmuchiwane. Ta więc bolączka współżycia sąsiedzkiego stała się obecnie najbardziej piekącą.

Przejdźmy teraz do szczegółowego opisu poszczególnych grup regionalnych w świetle wyników ankiety.

Repatrianci z Rosji są określanii jako ustepliwi, zgodliwi i nieśmiali. Wyróżniają się nieco Wilnianie w sensie dodatnim. Ogólny ich zmysł organizacyjny jest słaby, tak że nie tylko nie garną się do innych, ale nawet sami się nie organizują. Z małej ilości zrzeszeń i spółek, którymi są związani, większa część została powołana do życia przez ludzi z innych grup lub przez władze.

Wielu repatriantów otwarcie liczy się jeszcze z możliwościami powrotu na swe ojczyste tereny i wskutek tego ocenia stosunki jako prowizorium, zniechęcając się przez to do intensywniejszej pracy. Określa się ich często jako ospałych i nie mających wewnętrznej podniety do własnej inicjatywy. W stosunku do innych grup zachowują się na ogół nieufnie, izolując się od nich, a nawet traktując je wrogo. To stanowisko tłumaczą tym, że inne grupy regionalne zajęły gospodarstwa poniemieckie, które należą się im, jako tym, którzy pozostawili za Bugiem swoje własne gospodarstwa.

Osadników z Małopolski jest na Pomorzu Zachodnim zbyt mało, aby można było o nich powiedzieć cokolwiek uogólniającego.

Osadnicy z b. Kongresówki cieszą się dość niejednolitą opinią, tak dobrą, jak i złą. Przykładem niech będzie wypowiedź z powiatu nowogardzkiego:

„Pracują ochocho. Współżycie między nimi jest. Organizują się w związki gospodarcze, spółdzielcze i polityczne. Ustosunkowanie życzliwe, wzajemna pomoc sąsiedzka. Osadnicy, którzy pozostawili jakieś drobne gospodarstwa, nie przywiązują się zbyt do tutejszego terenu. Trochę elementu szabrowniczego. Element ten zaczyna odpływać. Naogół typ osadnika dobrego“.

Często jedna opinia o tej grupie regionalnej jest wprost przeciwna. Np. zauważono: ci wszyscy osadnicy, którzy pozostawili u siebie jakieś gospodarstwo, na całym Pomorzu nie mają zbyt wielkiego przekonania do pracy i poprzednie gospodarstwo uważają za swe materialne oparcie, nie zaś gospodarstwo przydzielone. Podkreśla się też stale duży udział żywiołu szabrowniczego (w miastach tzw. „niebieskich ptaków“ warszawskich), oraz wielkie ambicje osobiste, te zaś powodują chęć bezwzględnego uzyskiwania godności wiejskich choćby po trupach i poprzez nieustanne intrygi. Zaznacza się nadmierne zamięłowanie do zewnętrznej strony życia, nieliczenie się z groszem (pijatyki, stroje), nieraz pochodzącym z ciężko uzyskanych kredytów dla osadników rolnych, zazdrość wobec majątniejszych. Pewna część niebardzo pilnuje swych gospodarstw, i albo je eksploatuje, albo „kombinuje“, zajmując się wtedy spekulacją lub pędzeniem wódki. Często są wypadki całkowitego wyeksploatowania gospodarstwa, poczem uciekają lub przerzucają się do innego powiatu czy regionu z roszczeniami do władz osadniczych o nowy przydział gospodarstwa. Przyznaje się też tej

grupie wielką ruchliwość, ale nie zawsze w dobrym kierunku, łatwość dostosowania się do nowych warunków, jednak nieraz związaną z nadmierną giętkością charakterów.

Osadnicy ze Zachodniej Polski (Pomorze i Wielkopolska) mają o sobie opinię dość zgodną i znamienne. Przyznaje im się wielką inicjatywę gospodarczą, rzeczowe podchodzenie do spraw i wewnętrzną solidarność, nie wychodzącą poza ramy swej grupy. Dla nich jest też typowy, wysoki poziom kultury ogólnej, ale i przywiązanie do własnego zdania i niechęć do jego pośpiesznej zmiany. Są trudni do kierowania i niedostępni dla obcych, ale po uzyskaniu zaufania, wysłuchują przyjaznych zaleceń i są usposobieni przyjaźnie do innych. Mają duże wyrobienie społeczne, ale najchętniej poprzestają na członkach własnej grupy i tym samym izolują się od innych grup. Są świadomi swej wartości i dają to nieraz odczuć innym grupom, czym niechęć zrażają je do siebie. Są też wielkimi indywidualistami i przedstawiciele władzy jako tacy, im nie imponują, lecz dopiero wtedy, gdy mają słuszną i legalną za sobą i potrafią ich o tym przekonać. W niektórych okolicach bywają wprost uważani za elitę osadniczą, tak przez samych osadników, jak i przez władze.

Względem osadników wojskowych na Pomorzu Zachodnim opinia jest również zgodna, ale wprost przeciwna od poprzedniej grupy. Można by przytoczyć dosłowne oceny. Oto wypowiedź z powiatu kamieńskiego: „Bardzo trudnym elementem są osadnicy wojskowi“.

Antagonizmy między różnymi grupami regionalnymi (opisane poprzednio) nie okazały się tak silne, jak między narodami, a Ziemię Odzyskaną potrzebują dla swej spójności zupełnej jednolitości narodowej.

Ujmując całość zagadnienia opinii o osadnikach i ich współżyciu sąsiedzkim, trzeba się jednak zastrzec, że antagonizmy nie zostały zaobserwowane we wszystkich powiatach województwa, a poza tym nie mają one źródła czysto regionalnego. Może to się na pozór wydawać dziwne, ale w rzeczywistości jest ono inne, a mianowicie: zawiść materialna i poczucie niż-

Perspektywa

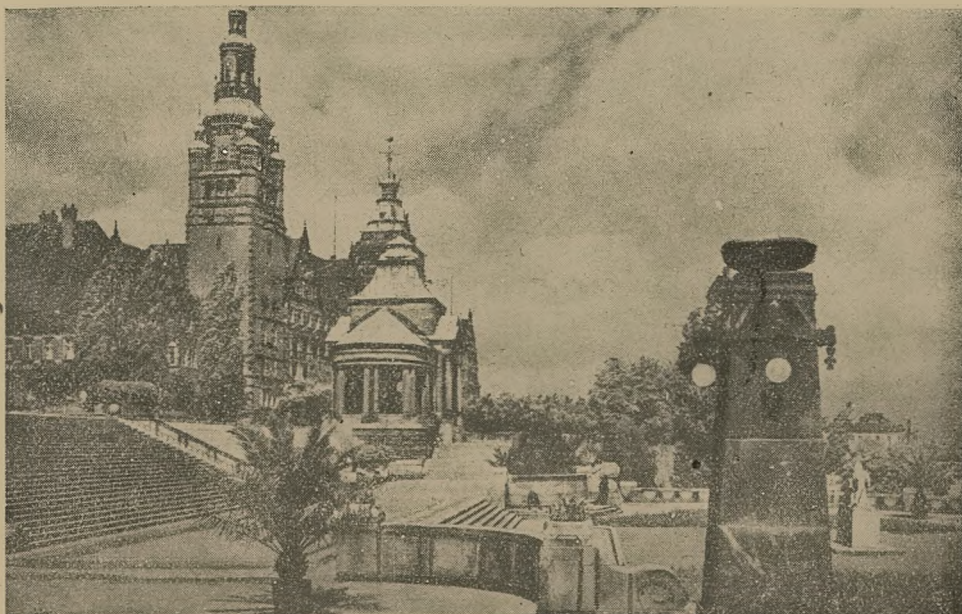
Odry

Wiele się mówi i pisze w Polsce na temat Łużyc. Czy to jednak w jakimkolwiek stopniu polepszyło sytuację Łużyczan, czy przybliżyło im tym wolność? Zdaje się, że nie. Łużyczanie jak dotąd cierpią, jak dotąd są przez Niemców terroryzowani, jak dotąd walka o najdrobniejsze swobody narodowe kosztuje ich wiele sił a także i niejedną ofiarę życia. Ostatnie doniesienia z Łużyc mówią, że w powiecie wojereckim zamordowani zostali dwaj działacze łużyccy. Sprawcy, którzy zostawili przy zabitych karteczkę z napisem: „Zabici za chęć oderwania Łużyc od Niemiec“ — nie zostali wykryci. Najlepsza w chwili obecnej poetka łużycka, Dołnołużyczanka Mina Witkojc, aresztowana była niedawno przez policję niemiecką za rozwieszanie plakatów łużyckich, które przeszły przez cenzurę władz okupacyjnych.

I przykre jest w tym wszystkim to, że interesując się Łużycami tak jak tego nigdy dotąd nie czyniliśmy w historii, nie potrafimy ulżyć ich ciężkiej doli. Nie potrafimy zapewnić im jakichś określonych zasadniczych swobód narodowych. Nie umiemy przeciwstawić dalszej germanizacji Łużyc. Bo germanizacja Łużyc trwa. Wielkie rzesze Łużyczan spodziewały się w roku ubiegłym istotnie jakichś przemian a tymczasem wrócił stary ciemiec, przybrałszy inną tylko barwę partyjną i ideową. Nic dziwnego, że widoczny jest zanik nadziei, tej samej, która utrzymywała ten mały naród słowiański w minionym tysiącleciu historii. Nic dziwnego, że ludzie wypierają się łużyckości, skoro za nią trzeba płacić dalsze ciężkie ofiary.

Cała nasza akcja prołużycka musi być przedstawiona na zupełnie inne realne tory. Wstępem do tego są utworzone przez P. Z. Z. stypendia dla studentów łużyckich. Do akcji prołużyckiej wciągnąć należy także czynniki odpowiedzialne za bieg naszej polityki zagranicznej. My powinniśmy także wziąć w swe ręce propagandę łużycką na terenie międzynarodowym, jeśli Łużyczanie nie mają na to ani ludzi ani możliwości.

Nie trzeba się w tej sprawie odwoływać do sumienia świata, bo takiego sumienia nie ma. Jest dość argumentów politycznych i gospodarczych, które przemawiają za wolnością Łużyczan. Te argumenty trzeba pokazać światu. I w tym kierunku działania powinny polskie ośrodki łużycoznawcze.



Obrazy Szczecina: Wały Chrobrego — Zarząd Miejski.

szości co do poziomu kultury rolnej, a więc oba powody są gospodarcze. Np. zawiść „Kongresowiaka“ do Wielkopola-
mina nie jest zawiścią czysto dzielnicową, lecz zawiścią gorzej zagospodarowanego do lepiej zagospodarowanego. Jest to, co prawda, pozorny paradoks, ale tak osadnicy, jak i władze osadnicze nie bardzo sobie zdają sprawę z tego rozróżnienia.

Dlatego też głównym środkiem na usunięcie sporów dzielnicowych osadników będzie ujednolicenie warunków gospodarczych (oczywiście od gorszego do lepszego). Gdy poczną zacierać się różnice gospodarcze, poczną się też zacierać różnice zdań. Np. wyraźnym dowodem tego było wyłonienie się wspólnego poglądu wszystkich grup regionalnych na tak ważne zagadnienie osadnicze, jak kontyngenty rolne (uważano zgodnie, że na Pomorzu Zachodnim nie powinno być ich wcale, jako na terenie o słabej glebie i niezagospodarowanym, wymagającym raczej pomocy), wytwarza też wspólne zdanie, a mianowicie wspólne narzekanie. **Uzgodnienie zaś poglądów wśród różnych grup regionalnych winno nastąpić nie na tle wspólnego narzekania, lecz wspólnego zadowolenia z wyników.**

Zresztą także i inne czynniki przyczyniają się zwolna do stopniowego zacierania różnic regionalnych. Mianowicie coraz częściej zawierane są małżeństwa „międzydzielnicowe“, które spajają rodziny, dotychczas przegrodzone niechęcią dzielnicowości. Poza tym sami osadnicy przyzwyczajają się do nowego dla siebie terenu, początkowo tak obcego. Same władze osadnicze również starają się zacierać te różnice przez możliwie jak najrówniejsze traktowanie wszystkich grup osadniczych. Co prawda, na prowincji zdarzają się nie-

raz jednostki, które rozumieją swą władzę, jako możliwość popierania swej grupy regionalnej. Temu zjawisku przeciwstawia się fakt coraz liczniejszego udziału w składzie personalnym władz przedstawicieli wszystkich grup regionalnych. **Nie brakuje więc czynników, spajających zwolna w jedną masę to kłębowisko najrozmaitszych wartości i właściwości.** Oczywiście w interesie ogólnonarodowym leży przyspieszenie tego procesu, aby na Ziemiach Odzyskanych powstało jak najrychlej zwarte i jednolite społeczeństwo.

Naświetlając ogólnie to zagadnienie, podkreśla się potrzebę patrzenia na spory osadnicze z wielką dozą wyrozumiałości i pobłażania. Należy przede wszystkim uwzględnić, iż osadnicy wojskowi przybywali na Pomorze Zachodnie w bardzo nierównym czasie i w odmiennym stopniu zorganizowania, i zastając gospodarstwa różnie urządzone: od niemal nieruszonych do zupełnie wyszabrowanych, a nawet zniszczonych. Dlatego różne fale osadnicze napotykały na różne trudności zagospodarowania się i osiągnęły różny poziom kultury rolnej, fale zaś opóźnione czasowo mają obecnie powód do materialnej zawiści wobec wcześniej przybyłych. To zaś w uproszczeniu lub w niezrozumieniu przerzuca się na płaszczyznę sporów regionalnych. Inna rzecz, że te wzajemne nieporozumienia powstają po prostu na tle ubiegnięcia w szabrze lub z pijaństwa i są przelotne.

Aczkolwiek więc współzycie sąsiedzkie nie przedstawia się wesoło na Pomorzu Zachodnim (jak i prawdopodobnie i w innych dzielnicach Ziemi Odzyskanych) to jednak ma poważne widoki uwzględnienia. Oby to nastąpiło jak najwcześniej!

Wacław Mrozowski

Przed zachodem

Biały Kamień potokiem zaszumiał
i na palcach podszedł cichutko
w stronę Solic —
tu piosenkę zanucił jak umiał
i przycałił się w cichym ogródku
do lic
i usnął.

Bo Kolejową dalej, gdzie blask
z pensjonatów wesołe rozmowy,
gdzieś orkiestry płacze się czar —
słońce włożyło na głowę odświętny, złoty kask
a Biały Kamień śpi, a gdyby podniósł głowę
pewnie z zazdrości by pękł,
że w Solicach wesoło, ruch, gwar,
roześmiane niebieskie oczy ,
x par,
z których każda ma inny dźwięk
oczekuje nadchodzącej nocy.

A teraz kwadrans na szóstą —
spiżowym echem odbił się wśród drzew
kościelny dzwon.
Pobożni spieszą ulicą pustą
jak stadka spóźnionych mew,
by osiąść przed nocą na maszcie.

Nagle długi, przeciągły huk,
to muezin tutejszy — sowa
zaprasza na nocny bal
w ogrodzie Zdrojowym na baszcie.

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (4)

Spotkanie ze Szczytnem

Ze względów technicznych artykuł ukazuje się z pewnym opóźnieniem. Aczkolwiek przed stawia on stan rzeczy sprzed kilku tygodni, autor uważa umieszczenie go w tej formie za celowe i niezbędne.

W chwili, gdy ze strony najwyższych czynników w państwie padają ważne słowa na temat stosunku ludności napływowej do autochtonów Ziemi Odzyskanych, gdy prasa niemiecka skrzętnie wychwytuje i rejestruje nasze potknięcia wobec nich, niezbędne jest uświadomienie opinii publicznej o rozmiarach szkód, jakie na tym odcinku zostały polskości wyrządzone przez różnego rodzaju szkodników, choćby nawet wzmozżona działalność władz sprawiła, iż niektóre lub nawet wszystkie zawarte tu szczegóły, miały już tylko znaczenie faktów historycznych.

Artykuł ten należy traktować nie jako zamkniętą całość, ale na tle całego cyklu, omawiającego stosunki na Warmii i Mazurach.

Właśnie Stefan Godlewski propagował uwiecznienie na murach warszawskiego Starego Miasta miejsc, które natchnienie Prusa przeznaczyło na mieszkanie bohaterów „Lalki“, gdy czytałem po raz któryś „Krzyżaków“. Goering polował wówczas w Białowieży, Goebbels kazał w Warszawie, a Ribbentrop uśmiechał się w „Światowidzie“, lustrując polską kompanię honorową. Oficjalna przyjaźń kwitła w całej okazałości. Była epokowa i wiecznotrwała. W niektórych kołach bluźnierstwem było wątpić o jej niezniszczalności. W „Krzyżakach“ znajdowało się antidotum, niezbędne dla dopełnienia jednostronnego obrazu.

Wtedy bliżej zapoznałem się z Szczytnem. Wyczytałem gdzieś, że w czasie przeróbek na tamtejszym zamku, znaleziono loch wypełniony ludzkimi piszczelami i zidentyfikowano go jako miejsce kaźni żywcem zamurowanych.

„Niech was Boska moc prowadzi. Szczytno przed wami!“ — mówił z kart książki mazurski chłop do Juranda i zdanie to nieodmiennie kojarzyło mi się z szczytniejskim lochem. Myślałem wtedy, że jeśli kiedyś Polska wróci na pruską ziemię, nie mniej aktualna, niż napisy Godlewskiego, będzie granitowa tablica, poświęcona bolesnej pamięci Juranda i Danusi, którzy żyli wprawdzie tylko w wyobraźni i natchnieniu, ale mieli żywe z krwi i kości prototypy i następców. Tam, gdzie „z wysokiego okienka w przybramnej wieży ozwały się jakieś zaledwie z początku dosłyszalnie dźwięki lutni“, gdzie stał w bólu i poniżeniu Jurand, widziałem oczyma pragnienia kamień, który na zawsze zapieczętuje czas cierpienia i bezsilności tej ziemi.

Daremnie szukam w Szczytnie krzyżackiego zamku. Ludzie nie wiedzą o nim i wytrzeszczają oczy ze zdziwienia. I moje zdziwienie nie ma granic. Czyżby tak potężny obiekt mógł zniknąć bez śladu?

Stoję pod „monumentalnym“ gmachem starostwa szczytniejskiego, gdzie mi wskazano nazwisko przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, Jana Liperta, jako tego, który zna adres Reginy Linkowej i nie mogą nadziwić się wysokiej, masywnej wieży tego na oko całkiem nowego budynku. Jakiś Mazur pyka fajkę i spod oka patrzy na potężne gmaszysko. Ryzykuję jeszcze raz zapytanie o zamek.

„Tu był!“ — odpowiada z flegmą autochton. „Ale go Niemcy w roku 1936 częścią rozebrali, a częścią przebudowali“.

A więc pamięć Juranda i Danusi jest w Szczytnie bezdomna.

Pukam do przewodniczącego Pow. Rady Narodowej jeszcze pod wrażeniem wielkiego rozczarowania. Tu gdzieś był dziedziniec, a z niego wchodziło się do sal, w których Jurand przeżywał piekło cierpienia, gdzie wołał i zaklinał dręczyciela córki:

„Bóg patrzy na twoją zdradę! Na rany Zbawiciela, na godzinę śmierci twojej oddaj mi dziecko!“

Mam jeszcze w oczach dramatyczny dyskurs Juranda z krzyżakami, zakończony wybuchem rozpaczliwego strasznego męża, gdy automatycznym ruchem otwieram drzwi. Staję na progu i wpadam w nowe oszołomienie. Nie wiem, jaki zmysł mi powiedział o tym, ale od razu spostrzegłem, że w gabinecie przewodniczącego rozegrała się również jakaś pełna napięcia scena. Grupa Mazurów, jak to zaraz spostrzegłem, otaczała ciasno biurko, wysunięte ku środkowi pokoju i zasłaniała siedzącego za nim czowieka. Jakieś pytanie zawisło widać w powietrzu, bo wibrowało w nim dźwięczenie ciszy, wśród której moje wejście dokonało się niespostrzeżenie. Wśród milczenia z za biurka podniósł się barczysty człowiek. W nabrzmiałą oczekiwaniami ciszę wpadł trzask twardego uderzenia pięści o drewniany blat i słowa, które od razu nakazały czujność.

„Pytacie, jaka to Polska przyszła tu do nas?“

Rzeczywiście pytanie było o niezwyklej wadze. Przez chwilę zawahałem się, czy się nie wycofać. Nikt nie zauważył mego wejścia, ale zdaje się jestem tu intruzem.

Najprawdopodobniej ma tu miejsce jakaś odprawa czy konferencja, z której mogą mnie łatwo wyprosić. Myśl o ucieczce opuszcza mnie w chwili gdy padają dalsze słowa z za biurka, a jakiś nowy instynkt każe mi sięgnąć po notes. Jaka szkoda, że nie umiem rysować. Obraz jest zupełnie na miarę talentu nowoczesnego Matejki i wizji sejmowego kazania Skargi przeciw szeroko rozplenionej krzywdzie i nieprawości.

W kole chłopskich twarzy przykuwa uwagę okrągła, lysa głowa, przecięta nad czołem długą blizną, o której zawodowym pochodzeniu mówi błękitny zaciek. To napewno nie głowa biurokraty. Sposób mówienia twardy i lakoniczny, ale zacięcie oratorskie, dla którego porównań trzeba by szukać chyba w przeszłości. Prostota i celność słowa zdumiewająca, nieporównana odwaga cywilna. Głos bez afektacji, mimo to nabrzmiały bólem i pasją.

Zebrań poświecone jest niewłaściwemu stosunkowi napływowej ludności i niższych lokalnych władz wobec autochtonów. Ci ludzie, którzy otaczają przewodniczącego, przybyli ze skargami na złe traktowanie, na nadużycia, na rabunki, oszustwa, gwałty i własną bezsilność. Robi się z nich Niemców, a potem osadnik, wójt, milicjant i zwykły szabrownik odmawiają im wszelkiego prawa do normalnego życia.

Starszy już chłop, nie bacząc na brak konia, zaprzagnał wiosną rodzinę do pług i zorał 13 pruskich morgów ziemi. Cisnął ostatnie ziarno w glebę i czekał. Przed kilku dniami zebrał z pola i złożył plon w stodole. Rano nie zostało ani ziarenka.

Innego wójt wciągnął na listę Niemców, bo miał kogoś na jego gospodarstwo. Nim sprawa się wyjaśniła, gospodarstwo jego zostało splądrowane.

Jeszcze innego pobito i zabrano mu ostatnie prześcieradło. Dzieci śpią na gołej słomie, a mimo to nie czuje się bezpieczny, bo nędza jego rozwściekła zuchwałych „szabrowników“, którzy nie wiedzą, by już niczego nie miał.

Kto inny zachował resztę maszyn mleczarskich i strzegł jak oka w głowie. Nie zdołał jednak ustrzec przed sołtysem, który „po przyjacielsku“ zaofiarował się przechować maszyny u siebie aż do uspokojenia stosunków i w naturze spłacać za ich używanie. Chłop uwierzył i oddał.

Przez kilka dni dostawał trochę odchudzonego mleka, ale po kilku dniach okazało się, że maszyny jego są już „za miedzą“.

„Pytacie mnie: macie jakie prawo w Polsce? — woła Lipert z bezsilną pasją. — Pytacie, gdzie macie się podziąć i czy iść za Odrę?“

„Ludzie, ja nie wiem czy się diabeł w to wszystko wdał, czy co! Tu nasza ziemia, tu nasze ojce, tu nasze groby, tu nasze miejsca!“

W kieszeni mam egzemplarz „Wiadomości Mazurskich“ (nr. 183), kupiony w Olsztynie pierwszego dnia mego pobytu. Przerzuciłem go obojętnie, piąte przez dziesiąte przeglądając sprawozdanie z W. R. N. Obecnie widzę, ile i jakiej prawdy zawiera ustęp z protokołu Rady i nagłówek: „Pozbyć się szkodników, odzyskać Mazurów“.

„Zagadnienie kontroli aparatu państwowego — powiada protokół — decyduje o przyszłości Polski. Ludzie na stanowiskach w większości wypadków nie dorastają do swoich zadań“.

W chwili gdy Lipert siada za biurkiem, podchodzę do niego i proszę o rozmowę o miejscowych stosunkach. Znow czuję na sobie badawcze spojrzenie miejscowego człowieka.

„Dobrze, ale teraz nie mam czasu. Niech pan przyjdzie po urzędowaniu. Zaczekam po trzeciej“.

Biorę adres Linkowej i wychodzę ze starostwa. Rzeczywistość odsłoniła przede mną jedną z ponurych dla reszty kraju tablic. Wstyd mi, że bałamucilem się tablicami ku czci cierpienia, które trwa nadal, choć nie ma już dawno szczytniejskiego zamku i niemieckiego ciemieczcy.

Popołudniowa rozmowa ma charakter ściśle rzeczowy. Poranne roznamietnienie opuściło Liperta. Robi wrażenie zmęczonego, ale jest skupiony i czujny. To, co napiszę nie odnosi się tylko do niego, ale do wielu miejscowych działaczy, z którymi miałem możliwość się zetknąć. Są to ludzie z prawdziwego zdarzenia. Nie opętani żadnymi, choćby i szlachetnymi egzaltacjami, wolni od ideologicznych i patriotycznych „rauszy“ i skłonności deformowania życia w przyzmacie swych poglądów. Widzą ostro, choć może nie efektownie, formułują z przekonaniem, krytykują śmiało i rzeczowo, lubią nazywać rzeczy

po imieniu. Może dlatego nie zawsze docenia się ich wartość.

Rozmowa ma przebieg mało efektowny. Stawiam pytania, mój rozmówca odpowiada, jakby w czasie egzaminu.

Są okolice, gdzie Mazurzy, cierpią skrajną nędzę, gdyż wykradziono im nawet bieliznę osobistą, nie mówiąc o inwentarzu i sprzętach domowych. Są okolice, gdzie rabusie nie cofają się przed użyciem żadnego gwałtu. Biją a czasem i zabijają. Mazur nie zna od nich spokoju ani w dzień ani w nocy. Nigdy nie jest pewien, czy do domu nie wtargnie mu szabrownik, nie zwymyśla od „niemieckich świń” i nie wyrabuje do ostatniego przydatnego grata.

Jakie jest podłoże tych wypadków i czym należy sobie tłumaczyć przewlekłość tego stanu rzeczy?

Sąsiadujemy z południa m. in. z powiatami: makowskim, ostrołęckim i przasnym-

wiadział na jego prośby, by obraz zostawił w spokoju: „Ja jestem Polak i katolik, a ty niemiecka świnią i wierzysz w Lutra. Tobie Matka Boska nie jest potrzebna”). Szabrownicy przyjeżdżali tu buńczucznie i koleśno. Ładowali co się dało na wozy i wywozili „za miedzę”. Proceder był tak rentowny, że naśladowcy tych metod rozdili się jak grzyby po deszczu.

Gdy stosunki zaczęły się normować, a administracja napływać na miejscowe placówki, ludzie z za miedzy poczęli osiadać na Mazurach jako t. zw. dobrowolni osadnicy, przy czym korzystając z braku odpowiedniego materiału ludzkiego, dostarczali wielkiej ilości kandydatów na milicjantów, urzędników samorządów gminnych oraz członków partii politycznych. Ten nowy podstęp zmierzał do uzyskania swobody ruchów w życiu niby osiadłym i do dalszego upośledzenia ludności miejscowej. „Osadnictwo” polegało na wzięciu w posiadanie co lepszych gospodarstw i wywożeniu z nich po nocach całego dobytku. Po ogłoszeniu jednego obiektu, „osadnik” zniknął bez śladu i szukał gdzie indziej nowej okazji rabunku. Akcja ta odbywała się bez żadnych przeszkód. „Władzą” byli krajanie, których poglądy na „szabera”, niemieckość Mazurów i rolę administracji na tym terenie były identyczne z „osadniczymi”. W najgorszym wypadku, gdy jakiś „osadnik” puszczał się na zbyt grube interesy, sprawę załatwiano ku... obustronnemu zadowoleniu, w szynku. — Powstał cały system nadużyć, w których władza spełnia rolę postrachu opornych, którymi byli za zwyczaj Mazury posiadający bogatsze gospodarstwa, pasieki, drobne młyny itp. Często przy użyciu gwałtu wciągano całe rodziny na listy Niemców i wysyłano na transporty. Były wypadki że w Olsztynie z 1.000-osobowych pociągów komisje wojewódzkie wyciągały po

200 a nawet po 500 tuziemców, wysłanych przez miejscowe władze do Niemiec. W tej zbrodniczej robocie nie brakło przedstawicieli żadnej z miejscowych władz. Gdy jednak z góry zaczęto wglądać w te sprawy, miejscowi kacykowie wpadli na inny pomysł, którego ilustracją były ranne skargi na kradzież maszyn, wziętych na przechowanie, rzekomo pod „opiekę” władzy.

— Ale chyba nadużycia te ustały dzisiaj znacznie i stosunki normalizują się, podobnie jak w północnych okręgach kraju?

Niech pan pojedzie i sprawdź! Ale plecaka nie radzę panu zabierać, bo łatwo może ktoś pana wyręczyć w noszeniu go. Niestety mam codziennie dziesiątki skarg i nie mogę powiedzieć, by nasilenie się zmniejszało. Zuchwałstwo „szabrowników”, ufnych w bezkarność i pomoc „krajanów” posuwa się tak daleko, że dziś wywozi się za miedzę nawet lasy, rozbiera domy i zabudowania gospodarcze, ściaga dachówkę z opustoszałych budynków. Na Mazowszu powstają całe składy budulca, przekraczające grubo potrzeby ich „właścicieli”. My, na przykład, mamy w powiecie dzielnego komendanta M. O. Ludzie jego są zajęci w dzień i w nocy, mimo to zadanie przetrasta ich siły.

— Jakie środki zaradcze, zdaniem pana, byłyby konieczne, by przywrócić tu porządek i bezpieczeństwo?

Trzeba bezwzględnie wykonania istniejących zarządzeń i radykalnego usunięcia przyczyn istniejącego stanu rzeczy. Ogłoszono sądy doraźne za t. zw. „szabera”. Dotychczas jednak nie słyszałem, by kogoś skazano i choćby tylko dla przykładu surowo ukarano. Za przestępstwa, jakie tu są popełniane, przewidziana jest przecież nawet kara śmierci. Niestety kary grożą

tylko na papierze i nikt się nimi nie przejmie, a cierpi na tym najwięcej dobre imię państwa polskiego i sprawa polskości Mazurów.

Musi się zmienić większość milicjantów, którzy pochodzą z Mazowsza i związani są szeregiem interesów i węzłów, nawet pokrewieństwa, z elementem przestępczym. Dopóki oni stoją na straży porządku i bezpieczeństwa, ani jednego ani drugiego nie będzie.

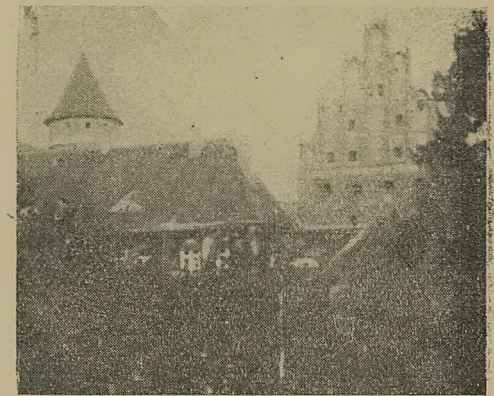
Musi się wysiedlić na północ, albo zgolić z terenu województwa, ludzi - szkodników „z za miedzy” i zamknąć ich dopływ. Wszyscy oni posiadają gospodarstwa na Mazowszu i myślą wyłącznie o ich wzbogaceniu drogą szabru, a nie o osadnictwie. Są to ludzie zdemoralizowani dotychczasową bezkarnością, o cynicznych poglądach na sprawę cudzej własności, a co najważniejsze, nie do zniesienia w współżyciu z



Chalupa mazurska, ostoja polskości i symbol narodowego wytrwania.

skim, które jeszcze przed pierwszą wojną światową uchodziły za wylegarnie przemytnictwa i koniokrady. Ludność tych terenów słynęła z przeprowadzenia przez granicę koni, bydła, przenoszenia soli, a przede wszystkim spirytusu, który przemycano w końskich pęcherzach. Nie rzadko przejść granicę dokonywano grupowo w zorganizowany sposób. Na upatrzonym z góry odcinku, granicy część szmuglerzy urządzała fałszywy alarm, który ściągał uwagę strażników, gdy tymczasem główna siła przemytnicza przechodziła granicę w innym punkcie. Ci ludzie znali doskonale stosunki pruskie i stan zagospodarowania tych terenów. Wkrótce więc po skończeniu działań wojennych, wielu z nich ruszyło na rabunek pogranicznych powiatów mazurskich skąd sięgnęli potem dalej na północ. Warunki do rabunku były tu sprzyjające. Większość ludności męskiej wywieźli Niemcy i dostała się ona do niewoli lub na emigrację. Wielu deportowali Rosjanie do robót jako Niemców. Stosunki były zupełnie płynne, brak było wszelkich władz lokalnych, do grabieży wystarczył pozór, że „Mazury to Niemcy”, a niejednokrotnie dodawano „zarzut”... i protestanci.

(Pewien Mazur spod Szczytna opowiadał mi, jak t. zw. szabrownik rabując mu ze ściany obraz Matki Boskiej, tak odpo-



Olsztyn. Zamek od mniej „fotogenicznej” strony.

miejscową ludnością. Na ich miejsce muszą przyjść ludzie godni i uczciwi.

Wielka ilość Mazurów przebywa zagranicą i czyni się starania, by ich skłonić do powrotu. Niektórzy wracają i zastają swe domy zajęte w wielu wypadkach przez ludzi, którzy bądź je wyrabowali, bądź zaniedbali w skandaliczny sposób. Sprawa tych obiektów winna być jak najrychlej załatwiona z uwzględnieniem praw istotnych właścicieli.

— Może mi pan jednak podać jakieś pozytywne osiągnięcia na tym terenie.

Otóż są starania bardzo wydatne ze strony władz wojewódzkich, aby wprowadzić innego ducha w stosunki z tuziemcami. Czekamy, by i na naszym terenie wysiłki te dały wyniki.

Poza tym na ogół dobrze układają się stosunki między repatriantami, zwłaszcza z terenu Wileńszczyzny. Nie tylko zgadzają się z miejscowymi, ale często, nawet samorzutnie spieszą im z pomocą. To są ludzie i oni stanowią element wartościowy w osadnictwie. Byli tu też harcerze podczas wakacji. Postawiali ludności płoty, pomogli w żniwach, brali się nawet do naprawy dróg. Zostało po nich jak najlepsze wrażenie i wdzięczna pamięć. A to bardzo wiele tutaj znaczy. Ostatnio trochę ruszyło się z pracą. Ludność jest bardzo zni-

Władysław Machejek

Znad Nysy

Nad siną rzeką wieją, jak brask, jak świt jasnowłoso,
mokre wieści bielinków i cięcia łąk na pokosy.

Rzeko gęstwino raz, — drugi — jako człowiek nad ciemnią,
bijesz sercem o brzeg i rzucasz się w drogę bezbłędną.

Rzeko ulewo — chłodzona obcą ziemią — bijesz w dzwony,
trzeba, trzeba w świat pędzić, Polski na morzu dokonać.

Trzeba przetopić każdą kroplę na morza i szlaki,
by tak ciągnął świat ku nam, jak wiosną stęsknione ptaki.

Bądźcie Ty i Odra, jak świece oknom zaufane,
bądźcie jako czujni żołnierze czekający rana.

Stoję, jak nad rozdartym polem, kraje nasze liczę,
drugobrzeżnie pierś nagą rozdarty na szloch Łużyce.

Sztuka ludowa Mazurów



Madonna z dzieciątkiem. Rzeźba gotycka z uzupełnieniami ludowymi warsztatu lokalnego, z okolic Olsztyna.



Mazurski dywan ludowy z r. 1779. Z miejscowości Szyba, powiat Elk.



Kafle mazurskie z powiatu niedzickiego, dawniej niborskiego, z ok. 1830 r.



Św. Roch, rzeźba z kapliczką ludową z okolic Olsztyna. Zdjęcia Muzeum Mazurskiego w Olsztynie.

szczona materialnie i potrzebuje o wiele większych możliwości zarobkowych. Mazur jest pracowity i chce pracować, aby znaleźć środki utrzymania. Nie jest łasy na cudze i nie będzie naśladował wzorów „z za miedzy“.

Zegnam Liperta. Ten rodowity Mazur, kiedyś górnik westfalski, działacz plebiscytowy i współwzięź Linki robi wrażenie zużozonego, może tylko całodziennym zmaganiem z tragizmem, który na tej ziemi trwa od wieków i przetrwał pierwszy rok polskiego panowania. Ale jest w nim i niespożyty upór, jakaś czupurność w walce z losem, która jest na tej ziemi znamieniem świadomej polskości. Już w progu dolatują mnie jego słowa: „Niech pan napisze, by księża na Mazowszu użyli całego wpływu i uświadomili swych parafian o tym, co się dzieje na Mazurach.

Zaczęłam Sienkiewiczem i skończyłam nim. Kiedyś w czasie najazdu Gosińskiego sprzymierzeńcy tatarscy wkroczyli tu pod polskim dowództwem. „Potop“ tak mówi o tym fakcie:

„Tej samej nocy jeszcze, w której Tatarzy minęli słup graniczny, niebo zacerwieniło się łunami, rozległy się wrzaski i płacz ludzi deptających stopą wojny“.

„Przecie elektor-lennik, zatem sługa Rzeczypospolitej, z dobrodziejstw jej żyjący, pierwszy podniósł świętokradzką rękę na królową i pania, więc należała mu się kara, a więc Kmicieć był tylko narzędziem gniewu Bożego.

Dłatego, co wieczora spokojnie odmawiał różaniec przy blasku płonących osad niemieckich, a gdy krzyki mordowanych zmzlyły mu rachunek, tedy zaczynał od początku, aby duszy grzechem niedbalstwa w służbie Bożej nie obciążać“.

Zniszczeniu uległo 180 km kraju wzdłuż i 75 w szerz, zniszczono 13 miast, 249 wsi, 37 kościołów, zginęło 23 tysiące ludzi, dwa razy tyle poszło w jasyr. Jakże wierzyć Sienkiewiczowi, że „kto polską mową o liłość umiał prosić, ten z rozkazu wodza był oszczędzany...“

W niecałe trzy wieki potem żołnierze sowiecki usłyszali na tej ziemi, że nogą jego depce kraj niemiecki po raz pierwszy w ciągu drugiej światowej wojny, że nadszedł czas odpłaty za setki spustoszonych kilometrów, które przemierzył wśród zgilotczonych rodzinnego kraju, za skargi, które dzwięczały mu w uszach i za grozę zbrodni, jaką miał w oczach. Wyładował tu swe bóle i krzywdy, nie podejrzewając nawet istnienia polskiego ludu w sercu niemieckiej ziemi.

Gdy zaś dopełniały się dni zgrozy i sro-dze utrapiony lud polski wzdychał do Polski, jak do matki, której orędownictwo usmierzył tragiczne spłoty niesprawiedliwości, przyszedł szkodnik z imieniem Polski na ustach i dopełnił miary gorzocy. Nie był to tchórzliwy szabrownik śląski czy pomorski, co to przemąkał przez opustoszałe wieś jak lichy złodziejasek, ale zachwylał rabuś, upojony własną bezkarnością, której granice przewrotnie rozszerzał, udręczył bezbronnych kobiet i starców, dotkniętych już ciosami, o jakich nie można mówić spokojnie.

Czy naprawdę dla tej ziemi łez i krwi konieczny był aż taki czas próby i czekania na prawdziwą Polskę, na elementarną sprawiedliwość i prawo do życia?

Czy naprawdę potrzebna była krew i izer, które dziś trzeba będzie ośluszać i za nie zadośćuczynić?

Detaliści:

wyroby »ORION«

jak: barunki do wszelkich materiałów czernidło szybkoschnące do wszelkich skór, politura do mebli, płyn do czyszczenia metali. Do nabycia w składnicy Fabrycznej

Natalia Rolleczek

Zywicowy teren ciągnął się wzdłuż toru. Torami przewały się wojenne transporty. Stalową arterią pędziła krew, tłoczona w pożerający ją organizm. Transporty stały w żywicowym lesie ze zgrzytem zderzaków i ulgą głębokiego wdechu lokomotywy. Przetrzymywane, czekały godzinami na poniesione ramiona semaforu. Marcowy śnieg kładł się na listwach zapartych, bydłych i żolnierskich wagonów, ofutrział ustawione w szeregi zabawek auta, pogrubiał stopy sztywnej słomy; podniesione pyski amiat warowały na lorach.

W żywicowym lesie cicho i nieprzerwanie powiększał się zastęp drzew z żółtawą klepsydrami zdartego prostokąta kory. W zmierzchu, gdy komin lokomotywy ciskał w nie rojowiskiem iskier, sosny odprowadzały go światłem świeżo obnażonych miejsc na mrocznych, wilgotnych pniach. Blżej przystanku stoi kilka drewnianych parterowych willi. Jedna z nich ze zbutwiałym gankiem, w opuszczonym ogrodzie, wygląda jak wytrząśnięty i odrzucony ul. Wiesz niktne w wąwozie.

Dwór wilkowiicki skryty w lipcowej ba-ni parku oddycha powietrzem, którego nie skleja zapach żywicy, bo las opada tu zagajnikiem i szerokie pola podpełzają pod dom.

Obszerny powóz zajeżdża przed hall. Pani Maru Łęgocka przejechała... Idąc przez hall zrzuca z siebie okrycie, futro. Jest już w swoim pokoju. Rozbiera się i kładzie do łóżka. Z zamkniętymi oczyma czeka, aż loka-poda herbatę... Story i obicia na drzwiach ściszą ją głosy domu i światło z zewnątrz. Zuza śpi w łóżecku... Spokojna wegatywność dworu nasycza ciało Maru.

Kroki — i do pokoju wchodzi Łęgocki. — Jest list od Pruchnickiej do ciebie, Maruniu.

Maru nie odwraca się od ściany: musi przede wszystkim odpocząć, chce mieć spokój, a Karol wie, jak ona nie lubi, gdy jej w tym przeszkadza.

— Nie mogłabyś, Maruniu, teraz go przeczytać, później zapomnisz.

— Zostaw go.

Łęgocki podchodzi do łóżecka i bierze rozbudzoną Zużę na kolana.

— Co ci mama, papusiu, przywiozła z Krakowa?

— Nic mi nie przywiozła, nawet mnie nie pocałowała.

— To niesprawiedliwie — wybuchu Zuza — żebyś ty był kochany ostatni!

— Słyszysz Maru — śmieje się Łęgocki — jestem kochany ostatni.

Maru wrzuca niedbale do szufladki przeczytany list.

Dłaczego ty ją budzisz? Wybijesz ją zupełnie ze snu.

Karol wychodzi z pokoju. Maru odczytuje powtórnie list, drze go, zaciągając lepiej

Sosny na żywicę

Opowiadanie z 1942 roku

koldrę na siebie. I na nowo spokój otacza siatką łożko. Ale teraz bzyka w niej uprzykrzenie treść listu i Maru traci smak spo-czynku... Czego więc ta Pruchnicka chce? Zajęcia dla bratanka we dworze? 18-letni chłopak pracuje w wolkowickich torfach i grozi mu zabranie do żywicowania... Więc co z tego? Wilkowice — dwór mają wystarczającą ilość ludzi... Że żywicowanie to przemysł wojenny, gdzie każde uchylbienie grozi karą za sabotaż... Ale dlaczego ona ma o to prosić męża... taki smarkacz — maturzysta może narobić kłopotu, i jak ona, Maru będzie wyglądała ze swoją protekc-cją... Lepiej nie mieszać się do tego... Ma-ru naciąga koldrę na głowę i zasypia.

Przy podwieczorku Karol zaczyna o-zywion: — Czerwony Krzyż zwraca się do Witko-wicz, żebyśmy się zajęli wysiedleniu kapita-nową Lipecką. Można by ją wziąć na nau-czycielkę do Zuzy.

Maru rozdrzania się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

— Aa, jeśli to nazywasz wtrącaniem się w twojej kancelarii?

— Maru rodząnia się do niesłychanie. Jakaś Lipecka do ich domu? Oczywiście Karol ją zna, już coś dwa razy o niej wspominał. Ale nie chodzi o tamtą kobietę, tylko o Zużę. Karol niepotrzebnie miesza się do wycho-wania dziecka.

Możesz to mnie zostawić, już ja o nauce Zuzy pomyślę, gdy będzie trzeba. Czy ja ci się kiedy wtrącam w nieswoje rzeczy...

śmieje się i zezuje na Jurka, który zrywa się i chwytą za czapkę.

— No, pan Jurek zacekła, to pójdziemy razem.

I Franek wkłada ciepły kożuszek, szyje owija szalikami. Wychodzą. Palik jest krępy, ma twarz czerwona, włosy przycięte na szcztotkę. Jurek jest wyższy od niego o do-bra głowę.

— Co Palik będzie teraz robił?

— Ja tu od lat byłem gajowym, to i da-lej nim będę. Do Niemiec mnie już nie wezmą, bo Zośka smaruje czym się da ko-mendanta. Teraz Łęgocki naprzyjmował nowych, ale kiedym, cholera, tyle lat za gajowego stał, to mnie musi wzić.

Obaj przenoszą wzrok na drzewa. Sosny nawilgły i stoją ciemne, jak osmalone słup-y.

Ja już dłużę na torfach nie będę ro-bił — mówi niedbale Jurek — najprędzej pójde do gorzelnii do dworu, dziedzia mi to wyrobi — kombinuje, chcąc sobie wynagrodzić ten półkożuszek i nowe buty Pa-lika. Tamten patrzy z boku na chłopca.

— Dziedzie to Jurkowi obiecał?

— No, pewnie — potakuje Jurek niewy-różnie — może nie do gorzelnii, ale zawsze gdzieś we dworze mnie wkreci.

— Aha — Palik poprawia czapkę i mil-kną obaj.

Przed domem Pruchnickich stoi powóz.

Jurek czuje szybkie uderzenia serca — to on wchodzi mu do tachwicy i pcha się w górę. Powóz wilkowiicki zgodził się! Bo po cóż zatrzymywaliby się tutaj? Jurek jest jednym skokiem przy powozie. Kłania się Łęgockiej. (Czy ona może mieć napraw-dę 45 lat?) Właściwie jest rozczarowany, spodziewał się zobaczyć Łęgockiego.

— Otrzymałam list od pani Pruchnickiej — mówi dziedzička — ale, niestety nie da się to zatulić tak, jak ciotka pana prosiła. Jurek patrzy nieruchomo na zamszową rękę układającą fałdy pledu na kolanach i rumiecie uderzają mu na twarz. Przy fur-tce stoi Palik, który prawdopodobnie wszyst-ko słyszy. Upokorzenie chwytą Jurka za gardło.

— Tak, tak — mruczy w okropnym strachu, aby Łęgocka nie chciała dalej mówić. Maru podnosi na chwilę na Jurka wzrok.

— Możemy państwu inaczej pomóc: skie-rujemy tutaj wysiedloną kapitanową, pań-stwo wynajmiecie jej mieszkanie, zawsze to coś przyniesie. Jurek prawie nie uważa na to, co ona mówi — żeby tylko przedzej odjechała, bo Palik stoi cały czas.

W końcu stangret zacina konie, Jurek całuje zamszową rękę. Powóz znika za zakrętem. Jurek zwraca się do Palika, krew bije mu do twarzy. Ale Franek nic nie mó-wi i Jurek uspokaja się. Teraz zaczyna za-lować — powinien być coś powiedział Łę-gockiej, jakoś przekonać, pewnie wzięła go za durnia, bo stał tak jak śpi. Jest strasznie zły na ciotkę: gdyby go nie posyłała po Palika, byłby się rozmówił z dziedzičką.

Łęgocka dojeżdża do Wilkowic, pogodzo-na zupełnie z sumieniem. Mężowi nie mó-wiła nic o prośbie Pruchnickiej, bo miała wstęć do ubiegania się za cudzymi sprawami, za to Pruchnicka będzie mieć lokatorkę, za którą Wilkowice będą płacić, a ona sa-

ma pozbedzie się z domu Lipeckiej, która drażniła ją niesłychanie. Maru czuła się podniecona, jak po strategicznym zwycięstwie, a przy tym przyjemnie było pomyśleć, że się tym Pruchnickiej pomogło.

W salonie Lipecka przeglądała z Zużą jakąś książkę. Kiedy Maru weszła, podnio-sła się, wypytując z troskliwością, czy Maru nie zaskodziła wilgoc. W międzyczasie rzu-cała spojrzenia w lustro, które odbijało jej zgrabną figurę i śniady owal twarzy oto-czonej ciemnymi puklami dwuczęścowego uczesania. Maru odpowiadała zdenerwowa-na, przycupowując głos do właściwego star-tu:

— Będziemy musieli jednakże przenieść panią — zaczęła szybko — póki pani jest wilgotny, więc chociażby ze względu na zdrowie nieostowny, a innego do dyspozycji nie mamy. Będzie pani mieszkać w willi u Pruchnickich, z całym zaprowiantowa-niem.

Lipecka słuchała uważnie z lekko ironi-cznym uśmiechem.

— Maż będzie pamiętać, aby pani otrzy-mywała wszystko regularnie — dokończyła Maru niezmiennie sztywno, a widząc, że Zuza słucha z otwartymi ustami, zwróciła się rozdrażniona do dziecka:

— Idź do tatusia!

Zuza pierchnęła z pokoju. To bardzo do-brze, że Lipeckiej nie będzie: dawniej, gdy mamusi nie było, to tatusi bawił się z Zużą, a teraz to ta Lipecka chodzi za papą i śmie-je się wciąż, a tatusi nigdy, tak jak Zuzie, nie powie jej, że śmieje się do sera... Pchnęła drzwi do kancelarii. Tatusi rozmawia z rządcą i widać odrazu, że jest zły — dla-tego Zuza, gdy ojciec wziął ją na kolana, rezygnuje z ruszania ołówek w biurku.

— O ten las nie mamy już co dużej wal-czyć — rzucił Łęgocki zginiatając papierosa — jak będziemy się jeszcze upierać, to sta-rosta nie da koncesji na marmoladziarnię, a bez niej nie ruszymy w interesach.

— Pan dziedzie musi wystawić dwóch ludzi do żywicowania, taki przyszedł prze-pis — wtrącił rządcą.

— No i kogo damy? — zafrasował się Łęgocki.

— Nikt z dobra woli, panie dziedziuku, nie pójdzie, bo chłopcy klną jak cholera, że przy takiej robocie łatwo kark skrećci: zła-mie się ci narządzie, to zaraz, że sabotaż i policja wzię.

— U diabła — zaklął dziedzie — moich fernali mi szkoda, chyba Palika wyznaczy-my, ten nie ma co robić u nas, bo przyją-łem już gajowego.

— To jeden, a drugi?

— Kogoś z torfiarzy.

Łęgocki sięgnął po listę i przebiegał oczami...

— Cóż kiedy to wszystko dziecięte i sta-re... Aha, Jerzy Pruchnicki, o, ten w sam raz, młody, to dla niego zdrowo, wyrobi sobie siły... Dwie osoby na utrzymaniu... hm... ile oni dają żywiczarzom? zwrócił się do rządcy.

— Ledwie co, ale stara Pruchnicka ma dom, ogród, gospodarstwo — mnożył po-spiesznie bogactwa Pruchnickich rządcą, aby dziedzie nie rozmyślił się i nie kazał mu szukać kogoś na miejsce Jurka.

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

— Nie wiesz? Bo z kawalerem ide, to przecie nie bede golizną świecił. Zośka

— Cóż się tak, Franuś, wypiał?

ma pozbedzie się z domu Lipeckiej, która drażniła ją niesłychanie. Maru czuła się podniecona, jak po strategicznym zwycięstwie, a przy tym przyjemnie było pomyśleć, że się tym Pruchnickiej pomogło.

W salonie Lipecka przeglądała z Zużą jakąś książkę. Kiedy Maru weszła, podnio-sła się, wypytując z troskliwością, czy Maru nie zaskodziła wilgoc. W międzyczasie rzu-cała spojrzenia w lustro, które odbijało jej zgrabną figurę i śniady owal twarzy oto-czonej ciemnymi puklami dwuczęścowego uczesania. Maru odpowiadała zdenerwowa-na, przycupowując głos do właściwego star-tu:

— Będziemy musieli jednakże przenieść panią — zaczęła szybko — póki pani jest wilgotny, więc chociażby ze względu na zdrowie nieostowny, a innego do dyspozycji nie mamy. Będzie pani mieszkać w willi u Pruchnickich, z całym zaprowiantowa-niem.

Lipecka słuchała uważnie z lekko ironi-cznym uśmiechem.

— Maż będzie pamiętać, aby pani otrzy-mywała wszystko regularnie — dokończyła Maru niezmiennie sztywno, a widząc, że Zuza słucha z otwartymi ustami, zwróciła się rozdrażniona do dziecka:

— Idź do tatusia!

Zuza pierchnęła z pokoju. To bardzo do-brze, że Lipeckiej nie będzie: dawniej, gdy mamusi nie było, to tatusi bawił się z Zużą, a teraz to ta Lipecka chodzi za papą i śmie-je się wciąż, a tatusi nigdy, tak jak Zuzie, nie powie jej, że śmieje się do sera... Pchnęła drzwi do kancelarii. Tatusi rozmawia z rządcą i widać odrazu, że jest zły — dla-tego Zuza, gdy ojciec wziął ją na kolana, rezygnuje z ruszania ołówek w biurku.

— O ten las nie mamy już co dużej wal-czyć — rzucił Łęgocki zginiatając papierosa — jak będziemy się jeszcze upierać, to sta-rosta nie da koncesji na marmoladziarnię, a bez niej nie ruszymy w interesach.

— Pan dziedzie musi wystawić dwóch ludzi do żywicowania, taki przyszedł prze-pis — wtrącił rządcą.

— No i kogo damy? — zafrasował się Łęgocki.

— Nikt z dobra woli, panie dziedziuku, nie pójdzie, bo chłopcy klną jak cholera, że przy takiej robocie łatwo k

wilkowicki. Przed szosą rozmawiają żywo: kilku Niemców w wojskowych mundurach, starosta i Łęgocki. Jurek domyśla się inspekcji. Żywiczarze stoją już w grupie. Pruchnicki dołącza się do nich. Wojskowi oglądają kubki, gdzie spływa żywica i wymieniają ze sobą zdania. Jurek nic z tego nie rozumie, bo nie zna niemieckiego. W tej chwili słyszy swoje nazwisko: nadlesny go wywołuje. Jurek występuje naprzód. Wygląda jak prawdziwy robociarz: obnażony do pasa, pociemniały od żywicy i prochu, na skórze widać stare blizny od skałeczeń narzędziem i świeże zadrapania. Nadlesny coś mówi do komisji. Niemcy patrzają uważnie na Jurka i przytakuja, a jeden z nich podnosi aparat fotograficzny i Jurek czuje na sobie oko obiektywu. Krew uderza mu do twarzy: fotografują go jak rozpłodnika z obory... Któryś z Niemców wraca do szopy, wynosi litr wódki i wpycha ją młodemu Pruchnickiemu pod rękę. Teraz podchodzą kolejno i ściskają mu dłoń.

— Dobry robotnik, pierwszy robotnik!... Znowu prztyka aparat.

Jurek błędnie coraz bardziej, zaciska palce na szyję butelki. Psiakrew, jeszcze jedno słowo, a trzaśnie flaszka w te uśmiechnięte pyski!... Mgła zasłania mu oczy. W tej chwili czyjś głos go otrzeźwia. Przed nim stoi Łęgocki.

— Jesteście pierwszym żywiczarzem w Generalnym Gubernatorstwie — mówi z powściąganą ironią — możecie się podać o medal do propagandy. — A widząc, że tamten stoi nieruchomo, jakby nie rozumiał, dodaje wyjaśniająco:

— Tutejszy okręg ma najwyższą produkcję w całym GG, a znowu wy jesteście pierwszym w tym okręgu, rozumiecie? Jak wasze nazwisko? — dodaje zniecierpliwiony — bo nie słyszałem, z Wilkowic jesteście, czy ze Smoliska?

Jurek patrzy uważnie na kapelusze, krawat i garnitur tego pana, do którego pisał, aby go uwolnił od żywicowania i który raczył mu teraz doradzać, aby się zgłosił po medal do propagandy. Chłopak zaczyna się śmiać, ale tak, że głosu prawie nie słychać, tylko rozsuwają mu się wargi i widać zaciśnięte twarde zęby. Ten pan drwi sobie z całej parady, jaką tu urządzili Niemcy Jurkowi, a przecież i Jurek czuje, że to było obrzydliwe...

— No, jakże się nazywacie? — niecierpliwie się Łęgocki.

— Je ne comprend pas — odpowiada obelżywym tonem Pruchnicki, śmiejąc się wyszczerzonymi zębami. Twarz Łęgockiego czerwienieje gwałtownie ale Jurek odwraca się na pięcie i odchodzi.

Auta z gośćmi rozjeżdżają się i dziedzić wraca do powozu, gdzie czeka na niego Maru. Konie już ruszają z miejsca, kiedy dziedzić zatrzymuje z powozu nadlesnego.

— Panie inżynierze jak się nazywa ten wasz beniaminek?

— Pruchnicki Jerzy, maturzysta — śmieje się inżynier. Teraz przez cały letni sezon będziemy mieć inspekcje na karku: oni boją się, by pan nie zrobił jakiejś „siuchy” z robotnikami o żywice, zwłaszcza, że to jest pański las, rozumie pan? Komisje wypały takie wypadki, gdzie dwór kupował od robotników żywice.

Meżczyźni kłaniają się sobie i powóz odjeżdża.

Łęgocki jest poruszony.

No, no, kto by się tego spodziewał! — wykrzykuje do żony — pozbyłem się sam doskonałego pracownika... Że mi też do głowy nie przyszło dowiedzieć się, kto to jest ten Pruchnicki, nim go wykazałem do żywicowania! Pewnie się obraził za to „wy”. Żeby mi wiedział, że to maturzysta! A to mi dał nauczkę: „Je ne comprend pas...” Mówiłem ci, Maru, co on mi powiedział? — zwrócił się do żony siedzącej z uparciem odwróconą twarzą.

— Daj mi spokój — rzuca opryskliwie Maru — to twoja rzecz znać ludzi, którzy u ciebie pracują, a nie moja, żeby się nimi zajmować. — W głosie Łęgockiej znacząco słychać jakieś rozdrażnienie.

Małżeństwo dojeżdża w milczeniu do Wilkowa.

(Dokończenie w następnym numerze)

KOMUNIKAT

Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców ZAIKS uprzejmie prosi niżej wyszczególnionych literatów i kompozytorów, względnie ich spadkobierców o zgłoszenie się we własnym interesie do Dyrekcji Generalnej ZAIKS-u, Warszawa, ul. Śniadeckich 10, względnie o zakomunikowanie pod tymże adresem wszelkich informacji, które by się odnosiły do miejsca pobytu tych autorów i spadkobierców.

Chodzi przede wszystkim o następujących twórców: zarówno żyjących, jak i zmarłych: Biernacki, Cierpiak, Dębicki, Górska, Hulewicz, Hulka-Laskowski, Korczak, Kuncewiczowa, Baszczyński Al., Niewiadomski, Orkan, Orzeszkowa, Ossendowski, Pruszyński, Przybyszewski, Rytyard, Bruno Skult, Statkowski, Szemplińska, Szutkiewicz, Świętochowski, Temerson, W. Tetmajer, Weysenhoff, Zagórski Włodzimierz, Zaleski K.

Jesienią przebarbuj swoje materiały jedynie barwnikiem bo daje ładne i trwałe kolory.

„ORION“

Otrzymasz w drogeriach i składach farb. — Składnica Fabryczna, Katowice, ul. Starowiejska nr 3, tel. 354-64. (85)

Kronika Słowiańska

Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu

Wprzęgnięta w rydwan służby dla hitlerizmu nauka niemiecka przez szereg lat fałszowała prawdę historyczną i wysuwała koncepcje, opierane w założeniach swych na naciąganiu faktów i wymysłach. Istniejące już przed wiekami tendencje nauki niemieckiej w kierunku służenia celom imperializmu i siły, w hitleryzmie znalazły swój pełny i jakże skryzalizowany wyraz. Wyznając na równi z polityką nieetyczne hasło o uświęcaniu środków przez cele, tendencje te znalazły swój kres, podobnie zresztą jak idea, która je zrodziła, w kompromitacji na miarę potęgi fałszu, jaki nb. tkwił już u samych podstaw tego rodzaju akcji.

Jednym z przyczółków, przeciwko którym z uporem kierowało się ostrze agresji nacjonalizmu niemieckiego, były i są Łużycy. Zmobilizowanie przez naukę niemiecką wszelkich możliwych, a naciąganych koncepcji i fałszywych sądów nie jednak nie wskórało, albowiem na świadectwo prawdy został się sam naród łużycki, który spontanicznie przez swoich działaczy podnosi ostatnio, nie po raz pierwszy zresztą w dziejach, pretensje o samostanowienie o sobie. Nauka polska w rozumieniu moralnych aspektów sprawy łużyckiej niejednokrotnie wypowiadała swoje zdanie na ten temat.

Zwołany w dniach 5 i 6 października br. przez Zarząd Główny PZZ ogólnopolski Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu postawił w przebiegu obrad zagadnienie Łużyc przede wszystkim jako rzecz międzynarodowej sprawiedliwości i uczciwości. Sprawa Łużyc jest czysta, jest sama przez się uczciwa i jako taka domaga się uczciwego potraktowania jej przez czynniki międzynarodowe, które nie powinny wiązać z nią jakichkolwiek pobudek interesu.

Pierwszy Zjazd Łużycoznawczy w Poznaniu obelany został przez wszystkie niemal ośrodki naukowe w Polsce, przez czynniki ministerialne i wszystkie koła, zainteresowane bezpośrednio lub pośrednio w samym zagadnieniu. Byli więc przedstawiciele Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, Oświaty, Informacji i Propagandy, przedstawiciele wyższych uczelni z Krakowa, Wrocławia, Poznania i in., przedstawiciele Instytutów Naukowych: Bałtyckiego, Mazurskiego, Śląskiego i Zachodniego, dalej: Komitetu Słowiańskiego i Towarzystwa Przyjaciół Łużyc z Akademickim Kołem „Profużu”, (którego propaganda, nawiasem mówiąc, budzi jak najgorsze wrażenie zagranicą), w końcu reprezentanci świata politycznego, literackiego, radia i prasy ze wszystkich stron Polski. Nie brakło i delegata Łużyc, dra Pawła Cyża, oraz trzech stypendystów Łużyczan, studiujących w Polsce.

Obrady pierwszego dnia zjazdu, prowadzone pod przewodnictwem prof. dra Romana Pollaka, zajęły się przedstawieniem wyników wiedzy polskiej dot. Łużyc w przeszłości i teraźniejszości. Prof. Pollak przeprowadził zwięzłą analogię pomiędzy Śląskiem, który od XIV wieku poprzez długie stulecia niewoli niemieckiej dobił się w końcu ofiarami krwi do Polski — a Łużycami, które przez zachowanie odrębności narodowej w ciągu jeszcze dłuższej trwającej niewoli zasłużyły poprostu na miano fenomenu. Z kolei prof. Tadeusz Lehr-Splawiński w wyczerpującej referacie przedstawił początki słowiańskiego zaludnienia Łużyc. Prof. dr. J. Widajewicz mówił o przeszłości Łużyc, dowodząc ich słowiańskości już na wiele wieków przed Chrystusem. Nazwę Łużyc wyprowadza od łęgu (Łęzanie, Łużycanie). Prof. dr. Witold Taszycki w prelekcji na temat „Języka łużyckiego i

jego stosunku do sąsiednich języków słowiańskich” dowiódł przykładowo szczególnie dużego podobieństwa języka łużyckiego do polskiego. Bogatych informacji o kulturze i literaturze Łużyc udzielił zebrany prof. dr. Stanisław Grabowski, przeplatając ciekawe wywody wspomnieniami osobistymi ze swego pobytu na Łużycach przed wojną.

Obrady drugiego dnia zjazdu, których przewodnictwem objął ostatni z wymienionych wyżej prelegentów, stanęły już pod znakiem wniosków praktycznych i rezolucji. Wstępny referat red. Eugeniusza Paukszy przedstawił jeszcze w tej części „Aspekt moralny sprawy łużyckiej”. Objawy gotowości polskiej odnośnie Łużyczan określił prelegent jako wpływ tradycji wolnościowych naszego narodu i naszego idealistycznego pojmowania zagadnień bytu narodowego. Następny z kolei, a zarazem ostatni referat mgr. Edwarda Serwańskiego postawił szereg bardzo rzeczowych wniosków i postulatów. Ponieważ układ

poczdamski nie przewidział sprawy łużyckiej nie posiadała ona zrazu szans politycznego rozwiązania. Jakiegokolwiek widoki powodzenia mogą jej zapewnić sami Łużycanie i tylko oni, a to zawsze i jedynie jako podmiot, a nigdy jako przedmiot politycznej akcji. Sytuacja Polski i Czech jako propagatorów sprawy łużyckiej jest o tyle kłopotliwa, że łatwo może budzić podejrzenie, iż oba narody wężą tu własny interes.

Obudniowym obradom towarzyszyła ożywiona dyskusja, w wyniku której uchwalono szereg rezolucji i powołanie do życia specjalnej Rady Naukowej dla Spraw Łużycoznawczych. W skład komitetu organizacyjnej tej Rady weszli: prof. St. Grabowski jako przewodniczący, red. Powidzki — wiceprzewodniczący, red. Pauksza — sekretarz, prof. Stieber, dyr. Lutman, prof. Taszycki, dyr. Pilichowski i delegat Komitetu Słowiańskiego w Warszawie jako członkowie.

A. Widera

Czasopisma poświęcone Słowiańczyźnie

„Życie Słowiańskie”, „Sławianie”, „Slovansky Przhled”, „Slavenski Svijet”, „Slavjani”... oto tytuły czasopism, które wychodzą obecnie we wszystkich państwach słowiańskich, a poświęcone są zbliżeniu między Słowianami. Są to organy istniejących w każdym z tych państw Komitetów Słowiańskich, a jakkolwiek służą jednej wielkiej idei, różnią się między sobą w niejednym. Droga prowadzi do jednego celu, ale wędrowcy w rozmaity sposób się w podróż tę ekwipują. Dla zajmujących się praktyczną stroną stosunków międzyśłowiańskich porównanie tego „ekwipunku” może być bardzo ciekawe i pouczające.

Nasze „Życie Słowiańskie”, organ Komitetu Słowiańskiego w Polsce, przeznaczone jest przede wszystkim dla czytelników szczególniejszej się sprawami Słowiańczyzny interesujących, nie ma zaś charakteru organu informacyjnego dla kół najszerszych. Redakcja pisma wydała się rzeczą ważniejszą podtrzymywanie kontaktu z istniejącą grupą pracowników słowiańskich, rozporządzających już pewnymi wiadomościami, i podawanie im stale nowych wiadomości fachowych, niż propaganda wśród szeroki mas, na które można wpływać przez prasę codzienną również. Właściwie potrzeba w naszych warunkach dwu pism: oprócz „Życia Słowiańskiego” winno wychodzić jeszcze jedno, dla najszerszych kół przeznaczone, ilustrowane, w dobrym tego słowa znaczeniu propagandowe. Projekt wydawania takiego pisma powstał w łonie Komitetu Słowiańskiego w Polsce już zresztą dawno i tylko trudności finansowe uniemożliwiły realizację tego istotnie ważnego zamierzenia.

„Życie Słowiańskie” zostało zbudowane na podstawach wieloletniego doświadczenia i uważnym porównywaniu rozmaitych periodyków poświęconych temu samemu celowi lub celom podobnym. Pismo posiada swój ustalony plan, który musi być w każdym miesiącu wypełniony: bezwzględnie muszą być w każdym numerze zamieszczone wiadomości o wszystkich bez wyjątku narodach słowiańskich, muszą być bezwzględnie uwzględnione wszystkie najważ-

niejsze dziedziny, w ramach podziału na zagadnienia polityczne, gospodarcze i kulturalne, musi być uwzględniona przeszłość polskiego stosunku do Słowiańczyzny („Rozwój idei słowiańskiej w Polsce”), musi być zamieszczony przegląd książek i czasopism. Działy te rozszerza się w miarę możliwości stale, a zwiększa się liczbę działów pisma. Niestety brak środków uniemożliwia przynoszenie materiału ilustracyjnego.

Podobny charakter posiada, jakkolwiek zdaje się nie mieć takiego systematycznie ułożonego planu, najstarszy z istniejących organów „wzajemności słowiańskiej”, praski miesięcznik „Slovansky Przhled”, wychodzący już w XXXII roczniku, o czym świadczy chociażby objętość dwukrotnie większa niż naszego organu. Pismem kieruje wybitny sławista czeski prof. A. Frin-ta z dość licznym kolegium redakcyjnym. Złożonym niemal wyłącznie z naukowców.

Już nieco innego rodzaju pismem jest moskiewski miesięcznik „Sławianie”. Pismo to posiada charakter bardzo reprezentacyjny, jest ilustrowane, przynosi dużo materiału oficjalnego, nie odznacza się jednak tak wielką ilością działów i zainteresowań, jak nasze „Życie Słowiańskie” lub praski „Przegląd”. Bardzo sympatyczny redaktor pisma p. Wasilij Mołodcow stara się bezustannie pismo ulepszyć, a bilans końcowy jego wysiłków jest niewątpliwie dodatni. Niemniej, wydaje się, że zmniejszenie przewagi materiału oficjalnego na rzecz konkretnych informacji o Słowiańczyźnie współczesnej wysłoby zadaniem pisma na korzyść.

Oba południowo - słowiańskie organy, „Świat Słowiański” (Slavensky svijet) w Jugosławii i „Sławianie” (Slavjani) w Bułgarii w przeciwieństwie do wszystkich wyżej wymienionych pism są miesięcznikami o charakterze popularnym: przynoszą wiele ilustracji, sporo materiału literackiego, przekłady nie tylko poezji, lecz i dłuższych nowel z piśmiennictwa słowiańskich, reportaże itd. Wydaje się, że brak tam stałego planu redakcyjnego, ale w każdym razie widać również ambicje do wielostronności.

Nie na tym koniec. W każdym z państw słowiańskich, z wyjątkiem oczywiście Z. S. R. R., wychodzą nadto miesięczniki poświęcone zbliżeniu tych państw ze Związkiem Radzieckim, jak warszawska „Przyjaźń”, organ Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Są takie pisma w Czechosłowacji, Jugosławii i Bułgarii. Istnienie tych pism specjalnych — mają one jednak bez wyjątku charakter popularyzacyjny, obliczony raczej dla szerszych kół społecznych — umożliwia oficjalnym organom Komitetów Słowiańskich równomierne uwzględnienie spraw mniejszych narodów słowiańskich.

Jak się zdaje, wszystkie te pisma jednakże cierpią na zbyt małe, stosunkowo, zainteresowanie społeczeństwa. W szczególności dotyczy to „Życia Słowiańskiego”, które dawno winno rozróżić się do rozmiarów większych niż 32 strony miesięcznie — gdyby społeczeństwo śpieszyło z prenumeratą. Jak dotąd jednak, wstyd przyznać, raczej trzeba było zmniejszyć nakład, mimo nieustannego ulepszania pisma. Pismo to jednak w każdym razie musimy utrzymać, za wszelką cenę!

K. M. I.

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO POZNAŃ, CHEŁMOŃSKIEGO I

Maria Kielczewska

O podstawy geograficzne Polski, str. 144 i 16 map, cena zł 200,—

Marian Friedberg,

Kultura polska a niemiecka, t. I-II, str. 363 i 310, cena za całość zł 500,—

Alfons Kłafkowski,

Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów.

str. 196 cena zł 200,—

Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska,

Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i gospodarczy,

str. 287, cena zł 300,—

Bożena Stelmachowska,

Zdobnictwo ludowe Ziemi Pyrzyckiej, 4^o, str. 34 cena zł 100,—

Donabycia we wszystkich księgarniach

Sprawy teatru

»Antygona« i »Warszawianka«

(Inauguracja nowego sezonu w Katowicach)

„Reszta jest milczeniem” — ostatnie zdanie z partii Hamleta określające bodajże najpełniej istotę tragiczności, a zarazem to, „czego już nie będzie”, wypływa jako jedno z wielu skojarzeń po wysłuchaniu „Antygony”. Mimo zastrzeżeń, jakie budziły zwłaszcza interpretacje aktorskie, nie we wszystkim dorównujące środkami wyrazu ekspresywnej głębi wielkiej poezji, wystawiona po piętnastominutowej przerwie „Warszawianka” przekraczała już możliwość należytej percepcji — była niepotrzebna. Ciężar artystyczny obu tych sztuk, siła i intensywność ich działania sprawiły, że wrażliwość odbiorcy została zasypiana lawiną wzruszeń tak rozmaitych, pomieszanych i niezwykłych, sięgających poza przeciętne rozumienie, że korzyść odnieśli tylko ci, którzy zdołali ocalić zdolność odczuwania, rezygnując z możliwości rozumienia. A na to, w przeciwieństwie do „Antygony”, nie można było sobie pozwolić w „Warszawiance”. Reszta winna była pozostać milczeniem.

Tragedia — twierdzi Taine — jest poezją „mroczną jak wyrocznia, straszną jak procyt, wzniosłą jak wizja”; te i inne jeszcze elementy „Antygony” omówię dokładniej, lecz istota tragiczności, której — zdaje mi się — jesteśmy bliżsi niż cała estetyka od Arystotelesa po czasy niemal ostatnie, nie doczekała się opisu czy definicji umożliwiającej zamknięcie rozważania inżynierskiego w ramy ustalonej filozofii. Może na właściwy trop wpadła fenomenologiczna szkoła Husserla; Scheller podał teorię przekonującą i, zdaje się, jedyną. Czy rzeczywiście tragiczność jest jednym z elementów świata? (Nie sposób w recenzji rozpatrywać teorematów, nie należy ich jednak pomijać). Słuchając „Antygony” nie słyszy się odgłosów świata. Na nic nie zdają się zawile komentarze, dopatrujące się „wiecznej aktualności” tej tragedii, doszukujące się w niej jakiegś dydaktycznej tendencji czy społecznego oblicza.

Mógłbym podać tyleż samo argumentów jej nieaktualności społecznej co i przeciwnych. „Antygona” jest ponadaktualna, „Antygona” jest mistycznym obrzędem. Temat nie został zaczerpnięty z codziennej rzeczywistości, nawet nie z historii, lecz jest udratyzowanym epizodem mitu o przeklętym przez bogów rodzie władców tebańskich Labdakidów, a wielkość i ponadaktualność tego arcydzieła poezji dramatycznej leży w pięknie wyrazu, określającym ukryty nurt człowieczej doli i niedoli, w tragicznym pogłębieniu potęgi losu, wobec którego człowiek staje bezsilny.

„Czy jest to tylko przypadek?” — zapytuje Maeterlinck — jeśli nas ktoś zapewnia, że prawdziwie głęboka i ogólna tragedia życia zaczyna się dopiero tam, gdzie kończą się tak zwane wypadki namietności i niebezpieczeństwa?”

Potęga „Antygony” jest słowo, a nie rozgrywająca się na scenie akcja, ruch (jak potraktował ją H. Szletyński) słowo jedynie towarzyszy widzialnej akcji, ale wyraża jej niewidzialne echo. I to należało wydobyc. Patrząc obiektywnie, nie przez zaopieczony z obcej sztuce nauki szkiełka dydaktyki, odnajdziemy, rzecz jasna, aspekt socjologiczny, ale będzie on posiadał ten sam charakter w „Antygonie” co w każdej innej tragedii antycznej, mianowicie olbrzymi zasięg wpływu tak doraźnego jak i historycznego. Pospęta atmosfera beznadziejności i fatalizmu nie ma nic wspólnego z pozytywnymi zdobyczami socjologii, ale ów oczyszczający ciężar kładący się na pierś widza, na pewno posiada socjologiczne wartości i następstwa. Niech się jednak nad tym zastanawia kto inny.

Fatalna predestynacja, każąca człowiekowi daremnie walczyć z bezsilnym i zwycięskim — jak w każdej tragedii — losem, stawia problematykę ideową „Antygony” na płaszczyźnie etyki — z chwilą ingerencji losu, kiedy wieczne milczenie rozstrzyga wszelki spór na temat winy i kary, problematyka ideowa wchodzi w zakres pojęć metafizycznych i obie prowadzą do przekonania o bezwzględnej irracjonalności świata i praw kierujących jego biegiem. Rozum ludzki nie wytłumaczy tych praw, ale wskaże, że należy je szanować:

„Skarb, nad inne skarby drogi,
to jest rozum w radzie dzielny,
a nie wolno drzeć się z bogiem
temu, który jest śmiertelny.
Kłęski nawet w późnym wieku
nauczą ciebie rozumu,
człowieku.”

„Warszawianka” urodzona — jeśli tak można powiedzieć — bezpośrednio z ducha muzyki, reprezentuje rozległą skalę nastrojów i wzruszeń, skupionych na jednym motywie, któremu na imię: Polska. Zesta-

wianie jej z „Antygona”, mimo pewnych punktów pozornie zbieżnych, byłoby nonsensem i tylko chęcią oddania hołdu St. Wyspiańskiemu, którego imię przyjął Państwowy Teatr Śląski, można tłumaczyć wystawienie obu tych sztuk równocześnie. Maria, która w epilogu „Warszawianki” wznosi się na koturny niepotrzebnego patosu, nie jest odpowiednikiem Antygony dlatego choćby, że centralnym bohaterem dramatu jest Chłopicki.

Jeżeli miałbym znaleźć w „Antygonie” postać odpowiadającą Marii z „Warszawianki” (czyżby to tylko przykładowo) wskazałbym raczej na Ismenę, która jak i Maria w zestawieniu z Chłopickim ma być projekcją i uwypukleniem wewnętrznej ewolucji swej siostry.

Nie będę rozwodził się nad ideową stroną „Warszawianki”. Jej na wskroś romantyczny rodowód czyni z tej pieśni powstańczej wybitnie polski, narodowy rodzaj dramatu lirycznego. Wszystko w niej jest pomieszane: ból, skarga, gorycz i sarkazm, gniew i duma z determinacją i rozpacz — a wszystko to daje obraz epoki (romantyzmu), obraz niewoli, egzotyczny i jedyny obraz polskiego charakteru narodowego.

Teatr Wyspiańskiego jest teatrem plastycznym, ale w „Warszawiance” element plastyczny ustępuje miejsca muzycznemu. Biust Napoleona, rzucający cień ideału na posagową postać Chłopickiego, Chłopicki i Maria, Maria i Anna — to dramatyczne upostaciowania skonstruowanych muzycznie akordów dur i mol, stanowiących tragiczny motyw „Warszawianki”.

Jeśli chodzi o ocenę spektaklu, to niestety, nie będzie ona odpowiadała kosztom Dyrekcji ani wysiłkowi zespołu, który obie te sztuki według swych najlepszych chęci opracował i zagrał. Olbrzymi wkład pracy był tak widoczny, że niedocenianie go było by więcej niż nietaktem. Kto wie, czy zbyt forsowna praca przygotowywacza nie odbiła się ujemnie na niektórych odtworzeniach premierowych. Dziwię się jednak, że w sztukach dających tak olbrzymie możliwości aktorskie, posiadających wspaniałe tradycje teatralne, żaden aktor nie zdobył się na kreację w wielkim stylu, taką, która by przeszła do historii naszej sceny.

Inscenizacja Henryka Szletyńskiego poszła po linii udynamicznienia „Antygony” i ustatycznienia „Warszawianki”. Rzecz jasna, że rytmiczny taniec chóru i dionizyjski Tyjad nie może budzić zastrzeżeń, lecz postawienie ról Ismeny (melodramatyczne) Strażnika i Hajmona uważam za rażące. „Urozmaitenie” wejść stanowiło również niezbyt szczęśliwe przełamanie obowiązującej konwencji — ale było konieczne ze względu na koncepcję dekoratora, Prof. Pronaszko ustawił na pierwszym planie stylową kolumnę, która miała chyba na celu wydobycie jednej tylko sceny, mianowicie ostrzeżenia Terejasza, jeśli o to chodziło — muszę przyznać, że efekt został osiągnięty. Ale zepchnięcie frontonu pałacu w prawo, w kąt niemal — osłabiło ekspresję innych scen, przede wszystkim wejść Kreona i Eurydyki.

Na tle ruchliwości „Antygony” posagowa statyczność „Warszawianki” nużyła, nie znajdując usprawiedliwienia.

Aktorsko, jak już wspominałem, „Antygona” raczej zawiodła. Janina Jabłonowska w roli tytułowej była najmocniejszą pozycją tragedii. W sposób dojrzawy i opatrzony wygrała heroizm i ból, a przede wszystkim doskonale mówiła wiersz. Obok niej wymienić należy Tadeusza Kondratę, który partią Terejasza pozostawił wrażenie niezapomniane. Maskę miał doskonałą, głos — to nabierał siły, to drżał w zatrzaskającej grozie, postać na tle kolumny wyrażała patos klątwy bogów. Dobre wcielenie znalazł zwiastun we Władysławie Scheybalu i Hajmon w Kazimierzu Witkiewicz, Danuta Kucka (Eurydyka) po opanowaniu tremy była poprawna.

Ismena była debiutem aktorskim Cecylii Kubicówny, debiutem rokującym nadzieje — ale na przyszłość. Zdaje się, że niezupełnie rozumiała ona swą rolę, nie poznała też jeszcze sztuki mówienia wiersza, przy którym nawet starzy aktorzy kapitulują. Nie należy się więc dziwić częstemu spadaniu z tonu, wygrywaniu się „na własną rękę”. Taka rola, mocna i piękna ponosi, osłabia kontrolę, ale zadaniem reżysera jest poddanie odpowiedniego tonu i wycienianie nerwowości ostrości gestów.

Mieczysław Giełniewski w roli Strażnika stworzył świetną postać ludową, jakby żywcem wyjętą z... komedii szekspirowskiej, błaznował ile wlało — dziwię się, że reżyser dopuścił do tego.

Kreona wymieniam na końcu, ponieważ był najsłabszym punktem „Antygony”. Pamiątką Jana Guttnera jako doskonałego

komika, Kreona nie potrafił natchnąć dramatycznym okrucieństwem tyrana, nie mógł też sobie dać rady z wierszem, którego rytm gubił się w chrypcie i karkołomnych przeskokach przejęzyczeń. Kreon był największą pomyłką całego przedstawienia. Partie chóru wydały mi się opracowane bez usterek, natomiast balet Tatiany Wysockiej nie miał w sobie nic z dionizyjskiej furii i wypadł raczej blado.

Na temat świetnego przekładu Ludwika Hieronima Morstina i jego metody należałoby właściwie napisać osobną pracę. Aby nie wypowiadać frazesów, ograniczę się tylko do powtórzenia skromnego stwierdzenia autora przekładu, popartego autorytetem prof. Zielińskiego, że starał się przetłumaczyć „Antygona” jak najwierniej. I niewątpliwą zasługą przekładu jest olbrzymie wrażenie, jakie pozostawia ta wspaniała tragedia mimo wymienionych błędów i niedociągnięć.

„Warszawianka” nie mogła już po „Antygonie” znaleźć należnego jej oddźwięku. Aktorsko właściwie wyrównana, bez słabych punktów, nie błysnęła też ani razu po-

„Zamach” Brezy i Dygata w Sosnowcu

Laureatowi „Odrodzenia”, Tadeuszowi Dygatowi nie udało się „Zamach”. Przez dwa akty pisali sobie zupełnie niezłą sztukę obyczajową z życia wojennej Warszawy operując umiejętnie postaciami kombinatorów, kanciarzy, naiwniaków politycznych i życiowych, złotych młodzieńców i lekko-myślnych kobiet oraz uczestników walki podziemnej. A w trzecim akcie wpadli na całego w płaski melodramat w najgorszym stylu, w ton sztuczki patriotycznej dla scen amatorskich. Zaskoczony widz śmieje się wprawdzie dalej, ale już nie z samej komedii lecz z naiwności jej autorów którzy pozazdrościli Brzozie „Starego dzwonu”, prześcigając się przy budowaniu finału tej dobrze zapowiadającej się komedii w stosowaniu metod i środków właściwych najtańszemu kiczowi patriotycznemu. Tchórzliwy właściciel baru, w którym „o polityce rozmawiać nie wolno” okazuje się nagle bohaterem walki zbrojnej, ściganym namiętnie a bezskutecznie przez okupanta, kapuś i prowokator wraz ze swoimi mocodawcami dyrektorem Arbeitsamtu i jego żoną, bogacą się na kombinacjach z Polakami Volksdeutscherką, zostają zakuci przez konspiratorów w kajdanki i osadzeni w piwnicy, całe niemal towarzystwo potrzebując groźnie rewolwerami śpiewa chórem i gromko „Warszawiankę” niemal przy otwartych na ulicę drzwiach i równie gromko rzuca hasło „do lasu!”. Nawet kompletny nicpoń, Lilka Oleska wybiera się na tę wyprawę, która zapowiada się jak majówka. Poza zasięgiem ogólnego entuzjazmu leśnego pozostaje jedynie kanalia Marczak oraz bon vivant Mytkiewicz, którym riksarz Todzio sugeruje, że będą spokojnie czekać na posady w Ministerstwie Aprowizacji przy rozdziale darów amerykańskich. W tym miejscu publiczność wybuchła śmiechem i oklaskami a za chwilę dyskretna kurtyna zakrywa wstydliwie końcowy rezultat pomyłki. Jakiej uległo dwóch zdolnych, inteligentnych ale obarczonych jakimś złymi nawykami literatów. Jesteśmy zdumieni i zaskoczeni. A przy tym rozczarowani. Już się nam zdawało, że nareszcie ktoś zerwał z nudnym wyświechtanym patosem w traktowaniu tematów okupacyjnych, że podjął się dla sceny tej ciekawej roboty jakiej doskonały przykład dał Jerzy Andrzejewski w opowiadaniu „Kukułka”. Marczak, Lilka profesor, para Niemców. Todzio Mytkiewicz to doskonałe zadatki dobrej komedii, która nie została dopisana do końca.

Reżyser sosnowieckiego teatru, p. Jerzy Rychter, miał trudną rolę przy realizacji „Zamachu”. W przedstawieniu nie było znać jego pracy, a widział się natomiast wiele zaniedbań, które szkodziły sztuce, demoralizując aktorów i nie ułatwiając bynajmniej pracy ubogiemu ale potrzebemu teatrowi, obsługującemu dąbrowskie zagłębie przemysłowe. Reżyser wystąpił

tegą hymnu ani grozą szaleństwa. Sceny znane z historii teatru jako genialne miejsca wielkiej gry wykonane były poprawnie ale też minęły bez echa. Posagowa postać Chłopickiego w interpretacji Kazimierza Wichniarza przeżywała szarpając burzę dramatu i wewnętrzznego rozdarcia w sposób prawdziwie męski, skupiony. Talent Marii Ursyn minął się z rolą Marii; zabrakło jej bohaterskiej mocy w scenach dźwięgających ją na koturny polskiej Antygony czy Kassandry.

Z ciepłem, serdecznością i sporą dozą potrzebnej naiwności przedstawiła się Anna Marii Kościłkowskiej. Szlachetnie brzmiał wiersz w ustach Młodego Oficera, oddanego trafnie przez Stefana Rydla. Na szczere uznanie zasłużył Zbislav Pelc jako Skrzynecki i Marian Bielecki jako Stary Wiarus. Eugenia Kwiatkiewiczowa (Pani domu), Piotr Połowski (Pac) Marian Lech (Małachowski i Jerzy Bielecki (Literat) uzupełniali poprawną całość pieśni z 1831 r.

„Reszta jest milczeniem”.

Bogdan Butryńczuk

jako aktor także, tutaj stworzył bodaj najlepszą postać (dyrektora Arbeitsamtu). Niestety, nie umiał roli. Wpływ tego przekładu można było zauważyć na niektórych artystach w tym spektaklu, któremu w dniu premiery brakowało jeszcze kilku solidnych prób i dobrego reżysera, który by przede wszystkim osłabił i stonował akt trzeci, uczynił go mniej jaskrawym a przez to potrafił zapewnić powodzenie tej w swoim satyrycznym zacięciu pożytecznej sztuce, która pomimo niedociągnięć ma dane na to, żeby zdobyć popularność na scenach nastawionych na średni repertuar.

zh.

Patrzemy na ekran

A teraz parę słów o interesującej imprezie filmowej w światowej skali. Otóż w ostatnich dniach otwarto w Cannes na Rivierze, Międzynarodowy Festival Filmowy. Na Festiwalu tym prezentuje swoje powojenne osiągnięcia filmowe kilkadziesiąt państw, między nimi i Polska. Już w pierwszych dniach okazało się, że średni poziom prezentowanych filmów jest wysoki, tak pod względem technicznym, jak artystycznym. Na Festiwalu krytycy i producenci filmowi całego niemal świata zobaczą w sumie, w ciągu 16 dni 50 filmów pełnometrażowych, nie licząc około 70. krótkometrażówek. Przedstawienia odbywają się we wspaniałej sali „Casino” w Cannes, przy wysokiej temperaturze i wypełnionej sali. Mimo pewnych niedociągnięć w technice organizacji Festiwalu, widzowie punktualnie i grzecznie schodzą się dwa razy dziennie (przed południem i wieczorem), by nie opuścić ani jednego spektaklu. Przed południem wyświetla się 3 krótkometrażówki i jeden film o normalnym metrażu. Wieczorem, dwa pełnometrażowe i jeden krótki, przy czym przedstawienia wieczorne przeciągają się do późnej nocy. Filmy wyświetla się w oryginalnym brzmieniu, tak jak zostały nakręcone, bez jakichkolwiek napisów objaśniających, co upodobałoby Festiwal do wielojęzycznej wieży Babel. Z ekranu padają słowa w językach: angielskim, francuskim, rosyjskim, szwedzkim, polskim, hiszpańskim, duńskim i włoskim. Mimo to, wszyscy uczestnicy Festiwalu doskonale rozumieją wszystko, bo chociaż ma on charakter międzynarodowy, to znajduje się wspólne słowo między nimi: Sztuka. Alba.

Korespondencja

GLUBCZYCE CZY GŁABCZYCE?

Jako syn ziemi głubczyckiej, jako etymolog i historyk, nie mogłem się zgodzić na przemianę starej nazwy Głubczyce na Głabczyce.

Głębiny tam niema, przeciwnie, miasto położone jest dosyć wysoko nad źródłami rzeki Psiny, płynącej przez północną część powiatu, a węższe kościołowe i ratuszne miasta widne są na dzielątki kilometrów.

Etymologicznie jest nazwa miasta oczywiście patronimikum, wywodząca się od imienia własnego. Od jakiego imienia? Mój stary profesor Drządzynski, który uczył w gimnazjum głubczyckim do r. 1918, wywodził nazwę trochę złośliwie od Glupi, ale takiego imienia, chyba jeszcze nikt nie znalazł, chociaż zachodził przypadek imię rodowe Trąba.

Natomiast istnieje do dziś dnia w starej ziemi głubczyckiej imię rodowe Klubek, a w pisowni polskiej, np. w Knurowie, Chlubek.

Nazwisko praszczura Głubczyzan jest pewnie ozeską formą Klubek, wszak założycielem miasta i fundatorem pięknego lasu jest ostatni król czeski z rodu Przemysławów, Otakar II, który w roku 1278 poległ w bitwie na polach Morawy. W ludności polskiej powiatu głubczyckiego ustaliła się od wieków nazwa miasta, założonego przez Otokara, „Głubczyce”. Ks. Koziłdek (Knurow).

Glossy i notatki

Jak to było na Mokotowie?

Szereg artykułów w prasie z pierwszych dni września br. był jeszcze jedną próbą sądu nad powstaniem warszawskim. Przy całym krytycyzmie nikt jednak nie odmówił bohaterstwa młodzieży warszawskiej. Nie należy do niej nie zabierać głosu „pro domo sua”. Ale oto w interesującej zresztą książeczce Jerzego Pytlakowskiego „Powstanie Mokotowskie” znajdujemy takie słowa: „Tracą zaufanie we własne siły. (Trzeciego dnia walki! — przyp. mój.) Najprawdopodobniej, gdyby domy ich znajdowały się gdzieś w pobliżu, rozszliby się. Lecz nie mogą tego uczynić: są odcięci. Są żołnierzami bez broni i chęci do walki”.

Więc gdyby nie byli odcięci, to... Czy rzeczywiście tak było, panie Pytlakowski?

I drugie zdanie z Pańskiej książeczki (str. 28, gdy mowa o znanej piosence, którą powstańcy śpiewają w pierwszych dniach walki): „I to pewne, że więcej myśleli o teraźniejszej czy przyszłej dziewczynie, niż o ginącej Warszawie”. (sic!)

To takie pewne? W każdym razie, gdy wezmę do ręki powieść Dobraczyńskiego „W rozwalonym domu”, pewne jest, że któryś z was dwóch, Panowie, nie ma racji. K.

Sadyzm czy głupota?

Pisano o lodach „Pasiak” w Katowicach, o reklamującej się orkiestrze „Oświeceniaków”.

Cheć dodać, że te rzeczy stają się nagminne. Przejżdżając przez Nowy Bytom, widziałem na jednej z ulic wspaniałe prezentujące się szyld pewnej... knajpy, a szyld ten wyglądał tak: malowany w niebiesko-białe pasy, po bokach dwa krwawe trójkąty z literą „P” i w środku napis „Restauracja pod...”.

Pytani: cynizm czy głupota? Gdy staramy się od długiego czasu przekonać świat, jacy byli na prawdę Niemcy i jaką gehennę przeżyliśmy my, Polacy, jakis jegołom z Nowego Bytomia reklamuje się, że nie tylko nie ma żadnego kompleksu, ale wprost przeciwnie, to przypomnienie „idzie po linii jego przyjemności”.

Proponuję któremuś z pisarzy, którzy przeszli piekło obozu, temat do pracy: Motyw pasiaka jako motyw knajpy. K.

Przegląd prasy

Myślę, że prasa periodyczna to jedna z mocniejszych pozycji i jasniejszych stron naszego ruchu wydawniczego po wojnie. Nie bez słusznego powodu narzeka się na wielkie rozmnożenie się periodyków, na to, że jest wiele pism mało potrzebnych lub zgola zbędnych, ale ta sprawa załatw. się z czasem sama. Pisma nieważne, mało pożyteczne umierać będą naturalną śmiercią z braku czytelników a zadaniem czynników kompetentnych będzie podtrzymanie takich pism, które pomimo ograniczonego koła odbiorców, mają wartość trwałą i ze względu zasadniczych są potrzebne.

Nie wiem, jak wygląda od podszewki bytowe mniemanie naukowca naukowego, „Zycie Nauki”, ale pismo to, choćby je czytało niewielu ludzi, należy do grupy tych potrzebnych, których los nie może być obojętny ludziom dbającym o inne rozwoju kultury polskiej. Redakcja marzy o 2000 prenumerat, którzy potrafiliby zapewnić pismu jaką taką egzystencję bez zbitego obciążenia budżetu Wydawnictwa Nauki Ministerstwa Oświaty. Miejmy nadzieję, że marzenie to się spełni.

Program redakcyjny „Zycia Nauki” wypływa z twierdzenia, że „uczeni powinni brać żywy udział w kształtowaniu się prądów kulturalnych, walcząc o prymat naukowego poglądu na świat”. Pismo głosi humanizm naukowy, „wedle którego nauka jest historycznym wytworem kultury i służy jak najpełniejszemu rozwojowi osobowości człowieka z jednej strony i jak najlepszej organizacji świata z drugiej. Gdyż życie zbiorowe należy organizować naukowo tak, aby zapewnić pełnię życia każdej jednostce ludzkiej, jednostce zaś należy wychować tak, aby umiała organizować życie zbiorowe najlepszymi metodami, jakimi rozporządzamy, a więc metodami naukowymi”.

Ostatni zeszyt tego pisma (6 za czerwiec, bo miesięcznik ten ma poważne trudności techniczne) przynosi wśród artykułów o treści ogólniejszej rozważania prof. Kazimierza Ajdukiewicza pt. „Co to jest wolność nauki” oraz Władysława Czaplińskiego „Centralizacja czy decentralizacja humanistyki”. Prof. Ajdukiewicz ustala, że wolność nauki wymaga wolności słowa, wolności myśli, wolności problematyki i badania oraz wolności metody. Uczyniłszy to, stwierdzenie punktem wyjścia swoich wywodów, w dalszym ciągu wnikiwie i sumiennie analizuje te cztery wolności i określa ich sens oraz formę. Czapliński wskazuje na niebezpieczeństwa i ujemne strony emigracji naukowców z zakresu humanistyki z miast prowincjonalnych do ośrodków uniwersyteckich. W zakres specjalności wchodzi już artykuły W. Hahna „O potrzebach bibliografii polskiej”, J. Rutkowskiego „Uwagi o polskim czasopiśmiennictwie historycznym”, T. Komornickiego „Organizacja nauk rolniczych w ZSRR” oraz I. Michalskiego „Zakres i system antropologii”. Zeszyt uzupełnia bogaty i sumiennie prowadzony dział sprawozdawczy - kronikarski. Tu m. in. znajdujemy omówienie dotychczasowej pracy Instytutu Zachodniego w Poznaniu.

Drugim potwierdzeniem zdania wyrażonego na wstępie jest krakowski miesięcznik redagowany przez Wojciecha Natansonę „LISTY Z TEATRU”. Mamy więc jedno jeszcze obok „Teatru” pismo poświęcone sprawom teatralnym i to pismo interesujące, dysponujące licznym gronem poważnych współpracowników, zwracające silną uwagę na życie teatralne za granicą a w charakterze swoim i ujęciu łatwiejsze w docieraniu do przeciętnego widza teatralnego. Tytuł pisma doskonale harmonizuje z jego treścią. To są właśnie listy pisane przez ludzi teatru, literatów, artystów, krytyków, autorów scenicznych do tych, którzy się teatrem szczerze interesują i odczuwają potrzebę bliższego z nim współżycia. Nr 4 „Listów z teatru” łączy się artykułami Stanisława Esztreicheira, Krystyny Grzybowskiej i Stefana Flukowskiego z inauguracją sezonu w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie, gdzie wystawiono „Fantazego”. Poza tym L. H. Morstin w felietonie „Tajemnice” píše o nie-spodziankach powożenia i niepowodzenia pisarza scenicznego. W. Hahn mówi o renesansie Fredry na scenach polskich (pomijając opolskie przedstawienia „Dam i huzarów”) z okazji 70. rocznicy śmierci pisarza. A. Grodzicki omawia krytycznie katowicki sezon teatralny 1945/46. Z. Leśnodorski píše o Shawie z okazji 90. rocznicy jego urodzin i pojawienia się jego sztuk na scenach polskich. Helena Wielowieyska drukuje tu fragment dramatyczny „Upadają bastyle”, nożący wyraźne cechy charakterystyczne słuchowska radiowego. Bardzo obszerną kronikę zagraniczną poprzedza interesujący wywiad z Jose Antiezo o teatrze hiszpańskim i nieprzychylnym stosunku gen. Franco do teatru, który dyktator hiszpański

stawia znacznie niżej od kina, jako że tam widzi prawdziwe okrety i drzewa a na scenie to są tylko dekoracje. Bardzo mile powiedzonko. Ma szansę przejść do historii teatru.

„KUZNICA” (nr 40) stanowczo zbyt duży zaszczyt wyświadczyła Albertowi Harrisowi całostronicowym artykułem (zresztą dobrym) Jana Rojewskiego. Tę „bohatera naszych czasów” nikt nie brał przecież poważnie ani z racji jego piosenki o Warszawie, ani z racji tego, co wygaduje za granicą. Ale jego wyjazd jest naprawdę niebezpieczny. Trzeba czuć — on tam może rzeczywiście znaleźć wariata, który pójdzie na realizację jego filmu o Polsce walczącej z piosenką o Warszawie na ustach! W tymże numerze „Kuznicy” znajdujemy orzeczenie Sądu Koleżeńskiego Łódzkiego Oddziału ZZLP w sprawie zatargu Jana Kotta z Marianem Piechalem. Kott otrzymał przestrożę przed podejmowaniem wystąpień.

I jeszcze dwie małe obserwacje, do których może przyjdzie powrócić kiedyś obszerniej: od szeregu numerów widać wyraźny „spadek formy” w tygodniku „WIES”, który staje się ciężki i nudnawy, oraz znaczną poprawę w tygodniku „POLSKA ZACHODNIA”, który zaczyna nabierać rumieńców życia i rozmachu.

Coraz częstsze ataki niemieckie na obecną granicę polsko-niemiecką dotąd były wysuwane dla samej negacji. Ostatnio na łamach prasy niemieckiej zaczyna się już pojawiać konkretne „projekty” nowej granicy. Rzecz jasna, że my nie możemy uznać jakichkolwiek zmian. Obecna granica bowiem na Odrze i Nysie spełnia nie tylko doskonale zadanie obronne wobec Niemiec, do którego po strasznej wojnie mamy prawo, lecz również stanowi właściwą rekompensatę za poniesione ofary, zniszczenia i odstąpione terytoria. Nie wspominamy tu już o argumentach historycznych, które bu-sinesmeni zachodni uważają za argumenty natury czysto subiektywnej. Jeśli zatem referujemy tu niemieckie „projekty” zachodniej naszej granicy, to nie poto, by dyskutować z nimi, lecz by dopełnić obrazu tego, co Niemcy robią i myślą.

Otóż ogłoszony przez „Frankfurter Rundschau” taki „projekt” określa nawet dość dokładnie linię, którą według relacji niemieckiego dziennika dzielić powinna Polska i Niemcy. Linia ta według życzeń frankfurckich polityków biegła by od Kolobrzegu, portu nad Morzem Bałtyckim, który pozostawiła by łaskawie po stronie polskiej, prosto na południe pod Głogów, stary gród naodrzański, tu dotykałaby Odrę biegnąc wzdłuż tej rzeki pod Opole, skąd skręcałaby

na południowy zachód Śląska opawskiego. Obłądkiem tym projektem, który na krótko tylko zaspokoiliby rewizjonistyczne apetyty Niemców, zachwycili się od razu niektóre koła amerykańskie i artykuł na ten temat wydrukowały „New York Times”, a ekonomista amerykański James Wartburg oświadczył nawet, że „projekt” ten jest kongenialny. Gdyby Mrs Wartburg przeczytał dokładniej artykuł „Frankfurter Rundschau”, zachwyt jego nie byłby taki lekkomyślny. Albowiem dziennik frankfurcki píše: „Linia ta i tak godzi boleśnie w interesy przyszłego państwa niemieckiego, zdajemy sobie jednak sprawę z tego, że musimy ponieść pewne konsekwencje obiedu Hitlera. Mamy wrażenie, że ta granica mogłaby być nareszcie granicą zgody.” (Podekreślenia moje.) Otóż to: Mamy wrażenie. Komentarz pisma jest w tym wszystkim najszczerzy. Te wszystkie „mamy wrażenie”, „sądzimy”, „może”, „świadczy tylko o tym, jak nienasycony jest nowy rewizjonizm niemiecki i jak strasznie mocno zagrożił pokojowi świata o ile znacznie się Niemcom udało i przyjmowali ich „kongenialne projekty”. Już tam nie kongenialnego nie wymyślił naród, który wczoraj był zachłanny, a gdy go za to ukarano, dziś pragnie być mściwy. Przecież jest, że wynurzenia niemieckie na serio potraktowała pewna część prasy sojuszniczej. Głupi także jest wykrzyknik, znamionujący oburzenie przy zdaniu: „Kłódko ma być częścią Niemiec” w 21 numerze czeskiego pisma „Argus”, omawiającego owe niektóre sprawy graniczne.

Te wszystkie tendencje niemieckie niewątpliwie nabrały śmiałości po oślawionej mowie Byrnesa. My na prawdę nie będziemy z nimi dyskutowali. Wielką o tym także niektóre pisma i koła europejskiego Zachodu i Ameryki, które znają nasze interesy, potrzeby i prawa. Z tych kół także wychodzi właściwa ocena naszego wysiłku wojennego jak i prawdziwy obraz obecnej naszej rzeczywistości, naszego trudu i osiągnięć.

Jeżeli mówimy stale o atakach niemieckich na granicę na Odrze i Nysie, które mnożą się w zastraszający sposób, należy także wspomnieć o tych pozytywnych głosach niemieckich, które potrzebę takiej granicy uznają. Wielka rozbieżność zdań pod tym względem panuje ostatnio w niemieckiej partii jednocy socjalistycznej (SED). Z jednej strony pod naciskiem opinii ogólnej i niektórych członków partii jeden z jej przywódców Wilhelm Pieck musiał oświadczyć, że SED zajmie się także przyszłymi granicami Niemiec na wschodzie, co już jest w rzeczy samej kwestionowaniem granicy obecnej, z drugiej zaś cały szereg działaczy SED staje mocno na gruncie granicy obecnej. W wywiadzie radiowym z jednym z jej działaczy na terenie Saksoni, nadanym przez radiostację Lipska, w dniu 11 października, padły mocne i znamienne słowa: „Obecną granicę polsko-niemiecką na Odrze i Nysie ludzkiej uważam za jedynie słuszną. Hitler wojnę poniósł daleko poza granicę Niemiec a ostateczną kłeskę odniósł także głęboko w sercu Niemiec, a daleko od ich przedwojennych granic. Jeśli Hitler a z nim naród niemiecki dobrovolnie wyzwał z mapy Europy swe przedwojenne granice, nie ma prawa nie wracać i domagać się ich uznania od tych, dla których zniszczenia je przekroczył. Rzecz jasna, że nowe granice dyktować mogą tylko zwycięzcy. Kiedy dyskutowano sprawę obecnej granicy polsko-niemieckiej demokratyczne partie niemieckie jeszcze nie istniały, a naród niemiecki wódcę jeszcze szedł po stronie Hitlera. Nie możemy zatem pretensji do twórców pokoju, że nas nie pytano wówczas o zdanie w sprawie naszych przyszłych granic, skoro myślny w tym czasie byli wrogami pokoju.” I jeszcze jedna wypowiedź, świadcząca o tym, że zdarzają się demokraci niemieccy ze zdrowym rozsądkiem politycznym. Prezydent miasta Lipska powiedział: „Obecną granicę polsko-niemiecką pragnę uważać za granicę wszystkich przyszłych pokoleń. Nie uważam, by problem wysiedleńców niemieckich z Polski miał się stać podstawą do zmiany obecnej granicy na naszą korzyść. Owszem, przyznając, że wysiedleńcy to element niespokojny, antypolski, z trudem znajdujący nowy dom i wyzyskujący ciągle chwilę powrotu do swych starych stron rodzinnych. Ze wysiedleńcy takimi są, temu winne są w pierwszym rzędzie pewne koła faszystowskie, nie pozwalające umyślnie na spokojne zorganizowanie życia wysiedleńców, utrzymujące ich w stałym ruchu, podnieceniu i op. rtunizmie.”

Właśnie koło Wrocławia. Nie wykrył Napieralski tej nazwy nigdzie na głównym terenie swej działalności, na tzw. Górnym Śląsku. Rzecz prosta: albowiem krainy bytomskiej i pszczyńskiej to część ziemi krakowskiej, odstąpione przez Kazimierza Sprawiedliwego Mieszkowi Kulawemu Raciborskiemu, żeby stał po jego stronie w walce z Mieszkim Starym. Należała ta ziemia do diecezji krakowskiej aż do r. 1821. Nie brakło „folkloru” wspólnego z Krakowiakami. W Rozbarku (okręgu bytomskiego) była jeszcze „karazyja” krakowska wówczas tj. jednocześnie kiedy się wysiedliło „Staropolską” w Namysłowskim.

Nie są to bynajmniej drobiazgi, mogące interesować tylko specjalistów. Skoro zaliczał się do Staropolski, a zatem Śląsk pierwotny był pod Piastami wcześniej, niż Kraków i był historycznie związany z Wielkopolską gdyż stanowił jej część. Jest polskim od czasów niepamiętnych, a trzon jego, kraina wrocławska; zwany jest etnicznie z Gnieznem i z Poznaniem. Nie jest obojętnym, że obok dowodów z aktów i zapisów kronikarskich znalazł się dowód w żywej mowie ludowej.

Toteż warto by wiedzieć, czy pojęcie „Staropolski” utrzymał się jeszcze gdzie, choćby w Namysłowskim? Proszę przy sposobności wywiadywać się, a o ewentualnych „odkryciach” dać znać do redakcji „Odry”. Feliks Koneczny.

Właśnie koło Wrocławia. Nie wykrył Napieralski tej nazwy nigdzie na głównym terenie swej działalności, na tzw. Górnym Śląsku. Rzecz prosta: albowiem krainy bytomskiej i pszczyńskiej to część ziemi krakowskiej, odstąpione przez Kazimierza Sprawiedliwego Mieszkowi Kulawemu Raciborskiemu, żeby stał po jego stronie w walce z Mieszkim Starym. Należała ta ziemia do diecezji krakowskiej aż do r. 1821. Nie brakło „folkloru” wspólnego z Krakowiakami. W Rozbarku (okręgu bytomskiego) była jeszcze „karazyja” krakowska wówczas tj. jednocześnie kiedy się wysiedliło „Staropolską” w Namysłowskim.

Nie są to bynajmniej drobiazgi, mogące interesować tylko specjalistów. Skoro zaliczał się do Staropolski, a zatem Śląsk pierwotny był pod Piastami wcześniej, niż Kraków i był historycznie związany z Wielkopolską gdyż stanowił jej część. Jest polskim od czasów niepamiętnych, a trzon jego, kraina wrocławska; zwany jest etnicznie z Gnieznem i z Poznaniem. Nie jest obojętnym, że obok dowodów z aktów i zapisów kronikarskich znalazł się dowód w żywej mowie ludowej.

Toteż warto by wiedzieć, czy pojęcie „Staropolski” utrzymał się jeszcze gdzie, choćby w Namysłowskim? Proszę przy sposobności wywiadywać się, a o ewentualnych „odkryciach” dać znać do redakcji „Odry”. Feliks Koneczny.



„S, rzędana narzeczona” w Sztuttgarcie, w nowym niemiecko-anglosaskim wykonaniu w ujęciu rysownika czeskiego A. Paderlika.

Redaguje k. mitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szweczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.). Tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmie Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” R 22316

Od spraw polityki przejdźmy do spraw literatury. Informowaliśmy na tym miejscu już wielokrotnie o łosach i obciach współczesnej literatury niemieckiej oraz poszczególnych jej pisarzy. Z prasy czeskiej („Obzory” nr 37) dowiadujemy się o jeszcze jednym pisarzu niemieckim, który za czasów hitlerowskich był wychwalany, a obecnie mieni się buńczucznie „p. szarem demokratycznym”. Gągatkim owym jest Hans Watzlik, żyjący sobie, tak jak żył długie lata, przed wojną, w swojej wili w Nysku na terenie Czechosłowacji. „Kdo je Hans Watzlik?”, pytają się „Obzory” i kreślą jego ideową i pisarską sylwetkę, tak jak my to uczyniliśmy swego czasu z Hauptmannem, krótko przed jego śmiercią. Wypadki zresztą są podobne. Wprawdzie Watzlik nie ma sławy Hauptmanna i w literaturze niemieckiej figuruje w grupie pisarzy regionalnych. Za to Watzlik pisał rzeczy antyczne i dla zajęcia Czechosłowacji przez Niemców pracował równie gorliwie na polu literatury jak Henlein na polu polityki. (Pod tym względem niebezpiecznie są dziś jeszcze dzieła Hauptmanna, czytane gorliwie we współczesnych Niemczech. Opisujące bowiem przeżycia krajoznawców polskich Karkonoszów napełniają serca Niemców tęsknotą za tymi ziemiami i nie pozwalają im się z nimi rozstać.)

„Obzory” cytują wiele zdań z dzieł Watzlika, jawne antyczne i przypominają, że pisarz ten, dziś już prawie siedemdziesięcioletni, otrzymał z rąk niedawno powieszonego protektora K. H. Franka pierwszą nagrodę literacką im. Adalberta Stiftera w wysokości 12 tysięcy koron. W zakończeniu pisma czeskie stwierdza, że Hans Watzlik powinien iść pod sąd czeski, albowiem cała działalność jego kwalifikuje się właśnie pod sąd.

Na zakończenie — skoro już wspomnieliśmy o K. H. Franku — ciekawa wiadomość przyniesiona przez dzienniki praskie. Oto na adres powieszonego protektora, który przed wojną był właścicielem księgarni w Sudetach, nadszedł list pewnej firmy wydawniczej mediolańskiej, donoszący o wznowieniu działalności i proponujący dalszą współpracę. Listonosz czeski na liście napisał: „Adresat nie znany”. Ostatecznie list doznał do wi zienia, w którym w czasie procesu znajdował się Frank, stąd dopiero zwrócono go pocztą z odpowiednią uwagą. Prasa czeska píše: Gdyby Frank był siedział spokojnie w swojej księgarni, mógłby sobie dziś spokojnie handlować z Włochami. A tak... Po polsku można by to powiedzieć inaczej: Głupi niedźwiedź, gdybyś w maceczniku siedział... wiesz.

Redaguje k. mitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szweczyk. Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.). Tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmie Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” R 22316